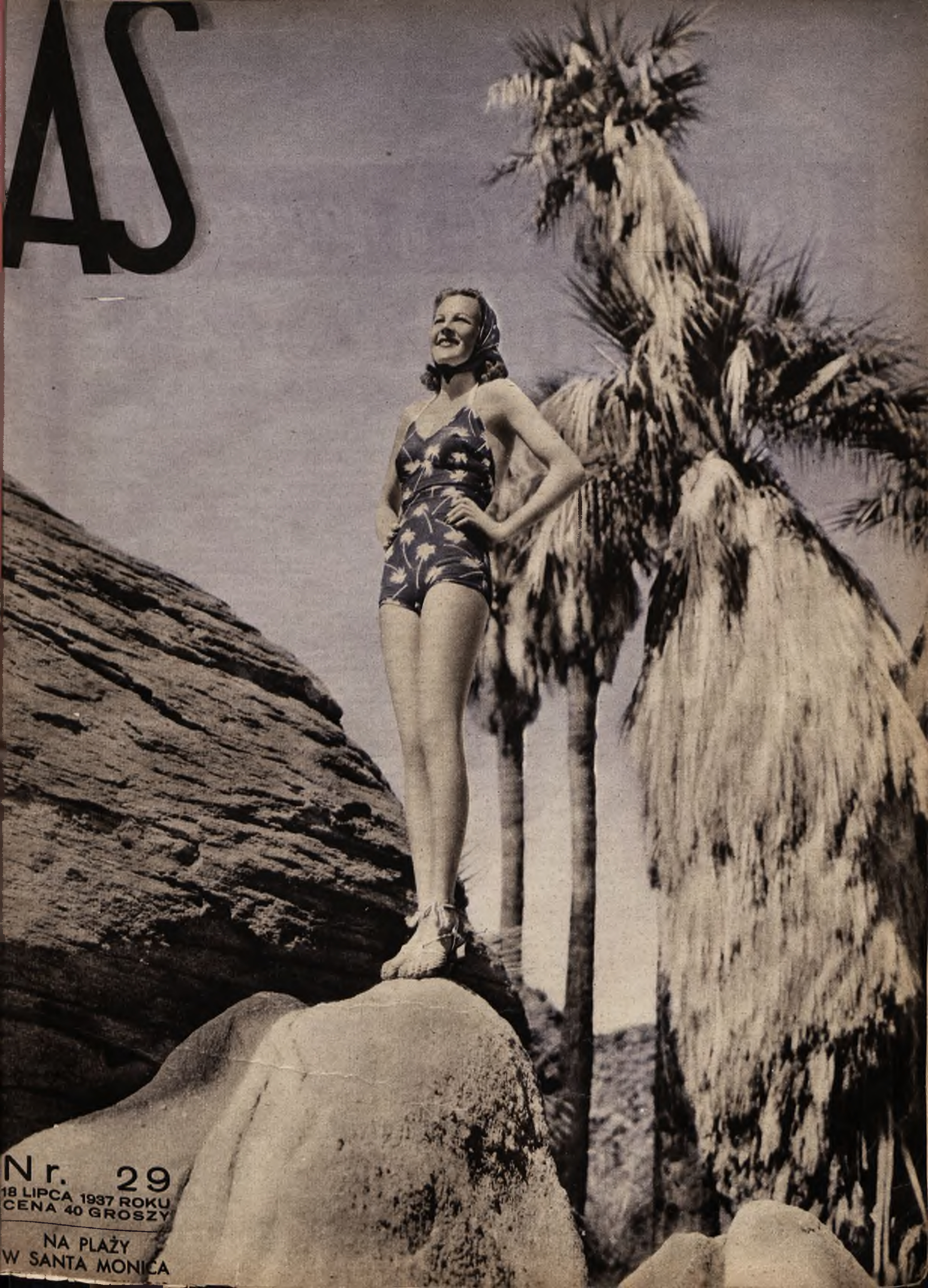
AS



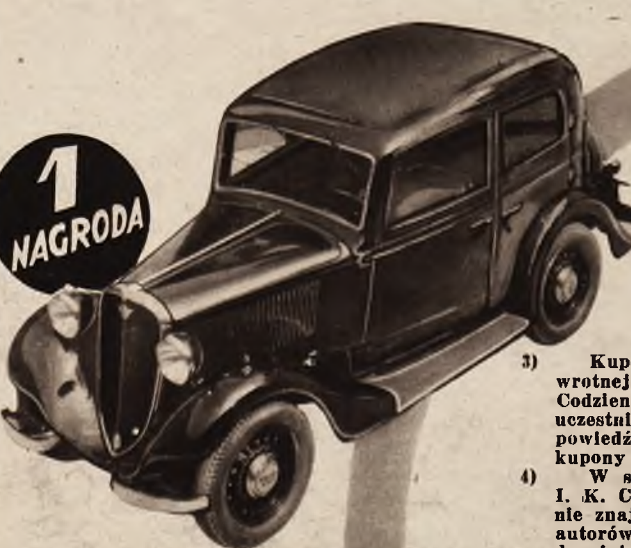
Nr. 29
18 LIPCA 1937 ROKU
CENA 40 GROSZY

NA PLAŻY
W SANTA MONICA

Wielki Konkurs z nagrodami

KONIAKU STOCK

1 NAGRODA



2 NAGRODA



3 NAGRODA



WARUNKI KONKURSU

1) Ułożyć w zwięzłej formie krótkie hasło propagandowe, albo krótkie zdanie lub wiersz rymowany, ujmujący najtrafniej zalety i wartość koniaku Stock-Medicinal i koniaku Stock-Extra. Przykład: „Koniak Stock — to król koniaków".

2) Od 2-go maja do 31-sierpnia b. r. zaopatrzone będą wszystkie butelki „Stock Koniak Medicinal" i „Koniak Stock Extra" w kupon dołączony do prospektu, na szyjce butelki. Odpowiedzi muszą wpłynąć najpóźniej do 31 sierpnia 1937 r.

3) Kupony należy dokładnie wypełnić tak, jak podano na ich odwrotnej stronie i przesłać pod adresem: Ilustrowany Kuryer Codzienny (Dział Propagandy) — Kraków, Wielopole 1. Każdy uczestnik konkursu ma prawo przesłać kilka odpowiedzi, każda odpowiedź musi być podana jednak na osobnym kuponie. Nieważne są kupony bez wydrukowanego numeru.

4) W skład Sądu Konkursowego wchodzą delegaci wydawnictwa I. K. C. — Sąd Konkursowy zbada odpowiedzi i przyzna nagrody, nie znając nazwisk poszczególnych uczestników konkursu. Nazwiska autorów odpowiedzi nagrodzonych ustali się dopiero na podstawie drugiej koperty oznaczonej literą B. Uczestnicy konkursu podporządkowują się decyzji Sądu Konkursowego, a w szczególności zgadzają się na opublikowanie ich fotografij w I. K. C. na wypadek przyznania im którejkolwiek z trzech pierwszych nagród.

5) Wynik konkursu ogłoszony zostanie w I. K. C. we wrześniu b. r. Trzy najlepsze odpowiedzi opublikowane będą z równoczesnem podaniem nazwisk, adresów i fotografij laureatów. Oprócz tego zostaną ogłoszone nazwiska i adresy autorów dalszych pięćdziesięciu najlepszych odpowiedzi. Nagrodzone odpowiedzi przechodzą na własność Spółki Akcyjnej dla Destylacji Wina w Białej k/Bielska, która może posługiwać się nagrodzonemi odpowiedziami dla celów reklamowych bez jakichkolwiek roszczeń autorów. Odpowiedzi nienagrodzonych nie zwraca się.

Za uznane przez jury konkursu najtrafniejsze odpowiedzi, w myśl pkt. 1) wyżej podanych warunków przyznane będą trzy nagrody, a mianowicie:

Samochód-kareta „POLSKI-FIAT"

Maszyna do pisania „F. K."

Radjoodbiornik „ECHO"



50 dalszych najlepszych odpowiedzi otrzyma po jednej butelce KONIAKU „STOCK" i jednej butelce LIKIERU „STOCK"

DOSTAWCY ITALSKIEGO DWORU KRÓL.

DOSTAWCY STOLICY APOSTOLSKIEJ

DOSTAWCY JUGOSŁOW. DWORU KRÓL.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 29 **Niedziela 18 lipca 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 29-GO:

„SAMOWARKIEM" PRZEZ POLESIE...
Z czem zapoznaje nas podróż kresowym „nord-expressem", przypominającym czasy Stephensona. Str. 4—5.

GRUBOSKÓRCE I DZIWOLĄGI.
Ślady fauny prehistorycznej znajdujemy nie tylko w ziemi w formie wykopalisk, ale i wśród dziś żyjących zwierząt. Str. 6

100% REALIZMU W FILMIE AMERYKAŃSKIM.
Dlaczego wierna kopja życia, a nie kompozycja artystyczna stała się pierwszym celem amerykańskiej kinematografji. Str. 9—10.

Wśród najmłodszych gwiazdek:
„CZWARTA HALAMA".
O najmłodszej z czterech sióstr, Lenie Halamie, której talent wróży świetną karjerę artystyczną. Str. 14.

NA „KOLE" PRZEZ BESKID ŚLĄSKI.
Wrażenia z podróży rowerem przez jedną z najbardziej uroczych okolic zachodnich Karpat. Str. 15.

DZIEWCZĘ Z MIASTA.
Ballada o amerykańskiej girl i zakochanym cowboyu. Str. 16—17.

W ŚWIĄTYNIACH „CZCICIELI SZATANA".
Reportaż, udowadniający rewelacyjne odkrycia ekspedycji naukowej barona Kummera, w dzikim Kurdystanie. Str. 18—19.

Z teki muzycznej „Asa":
TANIEC POLSKI I MARSZ UROCZYSTY
z muzyki do „Róży" Żeromskiego i „Achilles" Wyspiańskiego", kompozycji Kazimierza Meyerholda. Str. 22.

ZABAWY NA PLAŻY.
Wyjazd nad morze i beztroskie życie nad jego brzegami urozmaicają nam liczne sporty wodne i zabawy plażowe, wśród których upływa nam czas, przeznaczony na wypoczynek po całorocznej pracy w mieście. Str. 28—29.

Nowele. — Wspomnienia o Arturze Grottgerze. — Życie towarzyskie i artystyczne. — Kącik filatelistyczny. — Poranna gimnastyka. — Kosmetyka. — Moda męska. — Dział gospodarstwa domowego. — Humor. — Rozrywki umysłowe. — Na scenie. — Nowe książki. — Program radjowy.



Fot. W. Pikiel — Warszawa.

W czasie dorocznego »Święta Morza«, które w tym roku obchodzone było niezwykle uroczyście na naszem wybrzeżu w dniu 11 bm., odbyła się wspaniała rewja floty wojennej. Na naszem zdjęciu: Pan Prezydent R. P. prof. Ignacy Mościcki na pokładzie O. R. P. »Mazur« w porcie gdyńskim.

KSAWERY NIEDOBITOWSKI

„Samowarkiem" przez Polesie



Poleski „nord-express" jest romantycznym zabytkiem z końca XIX wieku.

Jest na Polesiu linja kolei wąskotorowej, łączącej miasteczko Janów z osadą Iwacewicze. Kolejka ta, którą zapragnąłem przejechać się, nosi tutaj humorystyczne miano „nord-ekspressu', ponieważ jest jego zupełnem przeciwieństwem. Mój Boże, — kto nie zdaje sobie sprawy z tego, jak się podobnym środkiem lokomocji podróżuje! Nigdy nie jest wykluczonem, że pasażerowie będą zmuszeni w razie jakiegoś „nagłego a niespodziewanego" defektu wysiąść i siłą własnych mięśni popychać wagoniki. Czasem trzeba spędzić z toru natrętną krowę, bezczelnie zagradzającą przejazd. Podczas podróży zaś można od współpasażerów i służby kolejowej dowiedzieć się wszystkich ostatnich nowinek, ile dany obywatel ma długów, czy dużo dostał za las, lub czegoś w tym rodzaju.

Początek swój bierze kolejka obok majątku Mohilna, należącego do p. Kadenacowej z domu Kontkowskiej, żony siostrzeńca Marszałka Piłsudskiego. Dwór w stylu nowoczesnej komfortowo urządzonej willi mieści się w starym ogrodzie, pełnym prześlicznych róż, rosnących malowniczemi grupami.

Następnie mija się lasy będące własnością Witolda i Tadeusza Ordów, a łączące się z olbrzymiemi dobrami leśnemi i rolnemi p. Romana Skirmuntta z Porzecza. Samo Porzecze jest warsztatem doskonale prowadzonym, promieniującym na okolicę wysoką kulturą i sławą starego, bardzo zasłużonego dla Polesia i kraju rodu.

Pałac porzecki architektonicznie wprawdzie nie przedstawia się specjalnie ciekawie, jeśli chodzi o stronę zewnętrzną, zato bardzo pięknie urządzone jest wnętrze, zawierające między innemi, dużą i cenną bibljotekę. Wyjątkowo urocze jest położenie domu, albowiem wznosi się on na samym brzegu jednej z najbardziej typowych poleskich rzek — Jasiołdy — toczącej swe wody leniwie i jakby tajemniczo. Dna nigdy nie widać, a prądu zupełnie nie można dostrzec. W tajemniczej toni tylko wysoko zawieszone obłoki przeglądają się bez strachu.

Z okien pierwszego i drugiego piętra widać bezbrzeżną równinę porośniętą szuwarami, naszpikowaną kopkami siana. Wieje stamtąd pewen smutek i melancholja. A przedewszystkiem wielka cisza i spokój...

Dwór w Porzeczu słynie jeszcze z dzieła w wielkiej mierze p. Romana Skirmuntta, wspaniałego parku, utrzymanego jako uroczy rezerwat natury. Niema tam nic sztucznie wyglądającego. Wszystko sadzone tak, aby robiło wrażenie naturalne i swojskie. A jednak znaleźć w nim można najrzadsze i najwyszukańsze gatunki drzew,



Fragment moczarów poleskich, w których jedyną dla człowieka dostępną drogę stanowią kładki.

Poniżej: „Honoratyn" w majątku Telechany, hr. Pusłowskich.



zaopatrzonych w tabliczki z nazwami. Reprezentują one chyba wszystkie części świata. Aż dziw bierze, że rosną na tych piaskach i mokradłach i w zimnem, północnem słońcu — jeśli urodziły się w ciepłej krainie afrykańskiej lub w dalekiej Azji czy Ameryce. Piękna jest i chyba jedna z bardzo u nas nielicznych aleja cyprysowa. Aleja smutnych drzew, poświęconych umarłym...

Powoli teren się obniża i przechodzi w łąki, tworzące brzegi Jasiołdy. Są tam jeszcze małe jeziorka z przerzuconemi przez nie łukowemi mostkami, podkreślającemi malowniczość położenia.

Do wojny Porzecze słynęło jako miejsce uprzemysłowione w niemal wszystkich możliwych tutaj kierunkach. Była fabryka sukna, gorzelnia i liczne inne zakłady, których twórcą był dziad obecnego właściciela p. Aleksander Skirmuntt. Niestety wojna tak majątek uszkodziła, że dotychczas nie można było go odbudować. Wspaniałe maszyny i urządzenia wywieziono z Polski zupełnie. Wobec tego zniszczenia dotychczas nie można było pomyśleć o całkowitej odbudowie i podniesieniu majątku do dawnego poziomu i znaczenia.

Dalszą ciekawą miejscowością są Telechany. Prowadzi do nich odnoga kolejki od Świętej Woli, osady zupełnie nieciekawej.

Za to wspomniane Telechany posiadają dość dużą i bogatą dziejową kartę. W szesnastym wieku należały do XX. Dolskich, od nich pokądzieli przeszły do XX. Wiśniowieckich, od tych zaś w wieku ośmnastym dostały się ostatecznie na czas dłuższy XX. Ogińskim. Hetman Michał Kazimierz Ogiński oddał wraz z sędzią Butrymowiczem Polesiu wiekopomną usługę, budując kanał swojego imienia, do dziś dnia mający olbrzymie znaczenie. Oprócz tej wielkiej pracy meljoracyjnej założył Hetman w Telechanach fabrykę fajansów. Jednakże niezbyt ona długo trwała i niezbyt wspaniałe dała rezultaty, ponieważ na miejscu nie znaleziono odpowiedniego do tych celów materjału. Musiano sprowadzać aż z Horodna glinkę kaolinową, co było połączone z wielkiemi trudnościami, kosztami i niepotrzebną stratą czasu. O fabryce owej wiadomo jeszcze, że w pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia została wydzierżawiona Lewinowi Szewelowi, poczem wkrótce przestała istnieć.

Telechany są obecnie własnością Wojcie-



Palac w Porzeczu, wł. p. Romana Skirmuntta.



Dwór pp. Kadenacych w majątku Mohilna.



W majątku Iwacewicze Antoniego hr. Jundziłła znajduje się niewielki, ale miły, staroświecki dwór.

Wszystkie zdjęcia; Ksawery Niedobitowski, Lwów.

cha hr. Pusłowskiego, którego rezydencja mieści się w Zawiszczu. Tu jest tylko zarząd rozległych włości do niedawna liczących przeszło 40.000 dziesięcin.

Naturalnie, że dla turysty najciekawszym do zwiedzenia jest kanał Ogińskiego i interesujące na nim urządzenia, regulujące ilość wody, jak tamy, śluzy itp. W przeciwieństwie do kanału królewskiego — ten przedstawia się bardzo malowniczo. Tworzy równą linję, ujętą z obu stron w silną ramę potężnych belek. Na brzegu rosną potężne stare wierzby, nachylone nad wodą, lub sędziwe lipy. Pewnie pamiętają dostojną postać Hetmana, gdy przyglądał się postępowi robót.

Po obu stronach kanału wije się droga. Jak zwykle szeroka, nieżałująca sobie przestrzeni. W jednem miejscu widać ruiny jakiejś piętrowej budowli. Jest to tak zwany „Honoratyn". Historja jego przedstawia się następująco: Honorata Ogińska, niewiasta jak zresztą cały jej ród wysoce uspołeczniona, wzniosła zewnętrznie mury dużego budynku, który miał być sierocińcem dla dziewcząt. Nie zdołała jednak swego dzieła doprowadzić do końca i tak dom został w połowie przerwanej roboty przez dziesiątki lat. Dopiero hr. Pusłowscy, do których przeszły później Telechany, starali się zaczętą pracę posunąć naprzód, przeznaczając dom na mieszkania dla administracji i kancelarje. I znowu na drodze stanęła wojna rosyjsko-japońska, która z jakichś względów przerwała konserwowanie budowy. Podjęto ją na nowo dopiero przed wielką wojną, ale znów, nietylko, że nie dokończono, ale sierociniec uległ od kul nieprzyjacielskich ostatecznemu zniszczeniu, z którego dźwignąć go już bardzo trudno. Stoją więc te poszczerbione mury nad cichemi wodami kanału i wyglądają jak zwaliska starego pałacu. Ogólnie też tak go nazywają. Można nawet w druku znaleźć mylne informacje, jakoby „Honoratyn" był ruiną zamku XX. Ogińskich. Wśród ludu krążą wieści, że nad domem tym zaciążyło jakieś przekleństwo i dlatego mimo tylu wznawianych prób nie udało go się wykończyć.

Kilkadziesiąt kroków od wspomnianych ruin znajduje się przestrzeń na kanale, urządzona w kształcie dużego koła. Ruch tam jednak minimalny.

Do najstarszych budowli Telechan należy kościół murowany dworski, wzniesiony w r. 1817. Architektura jego nie wzbudza zainteresowania. Z wyglądu przypomina dom mieszkalny, zaopatrzony w wieżyczkę.

Hetman Michał Kazimierz był także fundatorem kilku cerkwi w Telechanach i okolicy. W samem miasteczku stoi jeszcze świątynia prawosławna, wybudowana jego kosztem, ale w pobliskiej wsi Wygonoszcza spaliła się podczas wojny. Pochodziła zaś z roku 1785.

Od Telechan aż do Iwacewicz z małemi przerwami widzi się lasy bądź państwowe, bądź prywatne. W przerwach małe wioski, szare jak cały krajobraz, ciche jak ziemia, na której one powstały. Tylko najmłodsze pokolenie z zainteresowaniem śledzi ewolucje kolejki, starającej się astmatycznem sapaniem przezwyciężyć niewielki wzgórek.

Iwacewicze, końcowa stacja „nord-ekspressu" należą do Antoniego hr. Jundziłła, bardzo ruchliwego i czynnego ziemianina. Własnością jego są olbrzymie lasy, gdzie spotyka się wcale pokaźną ilość łosi.

Sama miejscowość robi miłe wrażenie swą rzadko na kresach spotykaną czystością i schludnością ulic, jak też domków. Opodal na falistem wzniesieniu stoi dwór. Dom położony w pięknym ogrodzie, ujęty w ramy kilku szpalerów — otoczonych wysokim murem — stylem zbliża się do budownictwa pałacowego — wymiarami zaś do normalnej ziemiańskiej siedzby.

Murowany kościół pod wezwaniem Świętego Krzyża jest fundacji Gołuchowskiego z roku 1750. Jak większość kresowych kościołów pod rosyjskim zaborem, tak i ten w r. 1866, czyli po powstaniu, zagarnęli dla siebie prawosławni a Polacy odzyskali świątynię dopiero w roku 1922.

Dokończenie na str 31-ej



W kole: Fragment Kanału ks. Ogińskiego.

Romantyczny zakątek w parku porzeckim.





Najbardziej »zblazowany« lokator ogrodu zoologicznego — nosorożec indyjski.

GRUBOSKÓRCE I DZIWOLĄGI

Minęła już dawno na przestrzeni Starego Świata epoka olbrzymów świata zwierzęcego, a te, które po dziś dzień zostały, skurczyły się w obwodach swoich, zapadając się w nieliczne zakątki wielkich puszcz, bagnisk i ostępów. Zginęły praojce naszego bydła rogatego, o łowach na których wspomina jeszcze historja, grot kuszy łowieckiej wyniszczył z terenu Europy Wschodniej olbrzyma tura (bos primigenius), a po pożarach ostatniej wojny, z trudem wielkim regenerowano dla Parku Narodowego w Białowieży żubra, któremu dla rozmnoży intensywniejszej musiano przelać krwi bizona amerykańskiego.

Z gruboskórców Europy, których rodzina uprzednio występowała w reprezentacji kilkunastu odmian, pozostały jeszcze dziki i niedźwiedzie, a i te ostatnie, występują już tylko w obliczonych i zarejestrowanych, omal że, jednostkach.

Nie tak to przecież jeszcze dawno, bo już w czasie bytowania człowieka na ziemi w okresie lodowcowym i polodowcowym, a więc bezwzględnie nowej epoce geologicznej, reprezentacja olbrzymów świata zwierzęcego występowała nader obficie na terenach ziem Polski i całego Starego Świata, a odnajdywane szczątki nosorożca (Starunia) i świetnie zakonserwowanych cielsk mamuta, świadczą właśnie o tem, że nie kto inny jak Europejczyk, odbywał na nie swe łowy. Na rogach renifera, którego kopalniane szczątki odnajdujemy po dziś dzień bogato rozsiane na Wileńszczyźnie, prymitywem rysunku kreślił człowiek zmagania swoje z olbrzymami świata zwierzęcego, z których nietylko wychodził zwycięzcą, ale które i doszczętnie wytrzebił. Świat wielkoludów i dziwolągów cofnął się w strefę fauny etjopskiej, gdzie występuje jeszcze dość bogato, dostarczając okazów zoologom europejskim.

Niekiedy patrząc na zwierzęta, doznaje się wrażenia, że fantazja i kaprys natury przekroczyły już miarę konieczności w budowie anatomicznej i że zakrawają na groteskę.

Krowa zebu, · która, żyjąc na swobodzie, nie przekracza wielkością normalnego psa owczarka, w hodowli wyrasta na zwierzę wielkości naszych mlekodajnych przeżuwających, której kaprys natury dał jak u wielbłąda garb łojowy ponad łopatkami. Tukan, barwisty ptak dżungli Nahore, ma przesadnie rozwinięty dziób, przekraczający niekiedy długością całe bajecznie kolorowe ciałko ptaka, a tapiry ze swoją niewykształconą trąbą słonia przypominają bajkę Kiplinga o małem słoniątku i rzece Linpopo.



Tukan królewski odznacza się olbrzymim nosem i poważną miną.

Trudnoby było przeciętnemu Europejczykowi dla celów naukowych, pedagogicznych i rozrywkowych, dla studjów pro domo sua, spotkać się oko w oko, z temi dziwnemi tworami natury, zainteresowanie się zaś istotami świata odrębnego. od fauny naszych krajów, było zawsze tak wielkie, że nawet Karol Wielki polecał wasalom swoim przysyłać sobie zwierzęta afrykańskie dla rozrywki. Instytucja zwierzyńców, gdzie podziwiano dziwolągi i cuda otaczającego nas świata, jest stara, jak starą jest historja ludzkości, ale instytucja najnowocześniejszych i mądrych zwierzyńców dla celów hodowlanych, nie jest tak dawną. Od dziadków swoich, w zaraniu naszej młodości, słyszeliśmy o tym ewenemencie nadzwyczajnym, gdy to do stolic Polski przyjechała po raz pierwszy w epoce popowstaniowej menażerja Imci Pana Kreutzberga. W Warszawie zainstalowały się te budy płótnem kryte na Palcu Grzybowskim i ludność prowincji jak i miasta ściągała tam tłumniej, by podziwiać dziwolągi. Historja owej menażerji przeszła do historji zoologji polskiej. Sprowadzona przez Kreutzberga i wraz z innemi zwierzętami gnieżdżąca się w ciasnej dusznej kleci żyrafa, skończy właśnie w Warszawie swój żywot niewolniczy. Pierwsza żyrafa, która zawitała do Polski. Dzięki staraniom ówczesnego asystenta Gabinetu Zoologicznego w Warszawie, a później znakomitego naukowca, Taczanowskiego, żyrafa zostaje zakupiona dla celów naukowych i doczekuje się nietylko znakomitej monografji tego świetnego zoologa, ale i spreparowania, by po dziś dzień zdobić Muzeum Zoologiczne przy Uniwersytecie Warszawskim. Od czasu menażerji Kreutzberga minęła już epoka. Wielką rewolucję wywołuje w Niemczech, Karol Hagenbeck, który zakupiwszy pod Hamburgiem wioskę Stellingen, buduje na tych terenach nowe miasto dla zwierząt. Dzieje się to w pierwszych latach bieżącego stulecia. W Stellingen niema klatek, są tylko wielkie przestrzenie dla zwierząt, z uwzględnieniem ich konieczności życiowej (baseny, wzgórza, bądź równiny) a od człowieka odzielone są one fosami, które nie przeszkadzają jednak, tak ludziom jak i zwierzętom obserwować się wzajemnie. Za Hamburgiem pójdzie Lipsk, ze sławną dzisiaj już na świat cały farmą hodowlaną lwów, z której płowe koty zakupowane zostają przez parki narodowe, utrzymywane przez zarządy gubernjalne kolonij afrykańskich. dla rozmnoży. A wreszcie za przykładem Hagenbekowskim pójdzie i Ogród Zoologiczny w stolicy. Dzięki fachowej i serdecz-









Od lewej: Szczęście rodzinne w zoo: żyrafa z małem i młoda słonica z swoim pierworodnym. — Indyjska krowa zebu. — Dzikie świnki »peccari«, które dostarczają nam cennej skóry na rękawiczki.

nej opiece swojego kierownika dr. J. Żabińskiego, Ogród Zoologiczny Warszawy nie tylko z roku na rok rozwijać się będzie w zdobywaniu nowych okazów zwierząt ciekawych, ale też, co najważniejsze i najciekawsze, stawać się będzie z roku na rok — jednym z najracjonalniejszych zoologów Europy, dzięki uwzględnianiu potrzeb życiowych zamieszkujących go zwierząt, które mając warunki zbliżone do warunków bytowania naturalnego, świetnie się tam czują i rozmnażają. I coraz więcej w nim dziwolągów i zwierząt coraz to ciekawszych. Reprezentacja olbrzymów świata zwierzęcego w ostatnim czasie powiększyła się o parę hippopotamów. Przemieszkują one zimę w basenie i na wyspie zamkniętej, by już z pierwszemi promieniami słońca wypłynąć na wielki wygon pod otwartem niebem z wyspą sztuczną pośrodku i z bagienkiem porosłemi papyrusami. Rodzina słoni powiększy się lada miesiąc, a słoń „Kasia" cieszyć się będzie macierzyństwem. Z europejskiej fauny naszych bagien oglądamy tam reprezentatów wielkoludów naszej kniei łosia żubry, a gruboskórców fauny krajowej również przybywa w stadku dzikich świń. Należałoby tę placówkę otoczyć nie tylko wielkiem zainteresowaniem całego społeczeństwa, ale i umiłowaniem serdecznem.

—o—

Gruboskórce i dziwolągi.

Z za barjer i wygonów spoglądają ku człowiekowi istoty dziwne, niekształtne w naszem pojęciu, karykaturalnie wymodelowane przez nieomylnego mistrza... Matkę Naturę.

Niechaj nam się nie wydaje przypadkowością kształt dziwaczny i fantastyczne ich ubarwienie. W warunkach ich bytowania nie czulibyśmy się dobrze w proporcjach zakreślonych rysunkiem Buonarotti'ego. Człowiek zdany na wyżywianie się gałązkami akacji, zmarł-by z głodu, nie posiadając żyrafiej szyi. Błądząc przez dżungle kolczaste, zdarłby aksamit swej skóry, nie posiadając grubej powłoki słonia i nosorożca, a pozbawiony łojowego garbu, krowa zebu, zmarniałaby, bez tej spiżarni, w miesiącach posuchy, panującej nad Gangesem. Nie jest karykaturą dziób królewskiego tukana, a tylko konieczną cangą przy rozłupywaniu, jak dziadkiem do orzechów, grubych ziaren owoców dżungli Nahore. I w przesadzie kształtów swoich są piękne, jednak te zwierzęta.

Może to już ostatnie olbrzymy w epoce, gdy drobiazg, w walce o byt, wypiera wielkoludy.

Epoka olbrzymów minęła.

Feliks Dangel.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Blok znaczków francuskich, wydanych ostatnio z okazji światowej wystawy w Paryżu.

Blok, wydany z okazji Światowej Wystawy w Paryżu, nie jest tak brzydki, jakby można sądzić o tem po fotografjach. — Przedewszystkiem umiejętne dobranie kolorów, a następnie delikatne wykonanie drukiem czcionkowym, dają zupełnie dobry efekt zewnętrzny. Jeśli chodzi o cenę, to wprawdzie kosztował on tylko 1 franka (25 gr), oraz bilet na wystawę znaczków, to jednak już w pierwszych dniach firmy francuskie oferowały go po 40 do 55 fr. a u nas np. w krakowskim Związku Filatelistów szczupła ilość 9 dostarczonych sztuk znalazła natychmiast nabywców po 12 złotych. Jeśli się weźmie pod uwagę, że nakład wynosi 120.000, a francuskie znaczki są zbierane na całym świecie, to przypuszczać należy, iż cena „Pexip'u" ustali się mniej więcej na poziomie niemieckiej „Ostropy". Trzeba będzie jednak na to mniej więcej dwu lat czasu.

Jak widzimy z reprodukcji, są to 4 znaczki francuskie pierwotnego typu, tylko o zmienionych kolorach i wartościach. 5 c.: niebieski, medaljon z Cererą brązowy, 15 c.: czerwony/karminowy, 30 c.: niebieski/karminowy, 50 c.: czerwony/brązowy. Filateliści zapewne wiedzą, że słowo „Pexip" jest skrótem, jeśli jednak ktokolwiek nieinteresujący się znaczkami zaglądnie do naszego kącika, to niechaj się dowie, że słowo to oznacza: „Paris Exposition Internationale Postale". Ciekawy układ barw daje dziwny efekt, którego naturalnie z jednobarwnej reprodukcji nie można sobie wyobrazić.

Format jest nietyle wielki, co kolosalny, tak że trzeba będzie poświęcić na „Pexip" całą kartkę albumu. Podstawa arkusika wynosi 15, a wysokość 22 cm. Dawniej zdarzało się, że wyrywano z bloków same znaczki, w każdym razie jednak traci się w ten sposób 80% wartości i trzeba odrazu zadecydować, czy nie zbierać wogóle bloków, czy też kolekcjonować je w nienaruszonym stanie.

Polskie bloki są już zapowiedziane okólnikiem M. P. i T. Uraczono nas aż trzema sztukami, które będą kosztować razem 7 złotych, mimo, iż nie będzie się pobierać żadnych dopłat. Nakład ma wynosić (podobno) po 100.000, ale wobec tego, że polskie znczki są znacznie mniej zbierane na szerokim świecie, aniżeli francuskie, ci, którzy nabędą je zawczasu, mogą liczyć wprawdzie na pewny zysk, ale nie zdobędą napewno takich „kokosów", jak przy innych wydaniach. Blok 4x25 gr wydrukowany będzie w kolorze brązowym, 4x50 gr (Marsz. Piłsudski): c. niebieski, 4x1 zł (prezydent R. P. I. Mościcki): stalowo-szary. Format 125x102 mm. Ciekawe, czy będzie można kupować bloki pojedyńczo, czy też wszystkie 3 naraz. — Prawdopodobnie rozdzielone zostaną tylko większym urzędom pocztowym. Po lewej i prawej stronie znaczków umieszczono na blokach herby Polski i Rumunji, a ponadto napis w kolorze czerwonym, przypominającym datę pobytu króla Karola II w Polsce 27/V—1/VII 1937.

Gdańsk wydał nową wartość za 55 f. i 10 f. w zmienionym kolorze niebieskim.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WP. S. KORMAN W ŁODZI. Znaczki przedrukowane „Viva Espana" nie należą już do „nowości". W sprawie „bloków" patrz tekst.

WP. SZNAPKA, CIESZYN. Dziękujemy — zamieścimy.

INTERNATIONAL EXCHANGE-CLUB POLAND W TURKU. Zwrócimy. Od miejscowych zbieraczy otrzymujemy tyle nowości, że tylko wyjątkowo zdarza się, aby ktoś z innego miasta nadesłał nam coś nieznanego.



TA ZWYCIĘŻYŁA...

Miss Opal Mc Cue, którą wybrano spośród stu tysięcy uczestniczek konkursu na obsadzenie głównej roli w filmie amerykańskim pt. „Piękność, której szukamy". *Presse-Photo*

100% REALIZMU W FILMIE AMERYKAŃSKIM

Fakt że film stanowi dostępny dla każdego, niezwykle łatwy środek iszczenia pragnień i ustajonych tęsknot drogą iluzji, zapewnił kinu popularność i potęgę.

Dopóki istnieje szary świat codzienności, bieżący wedle twardych nakazów rzeczywistości, świat zaludniony istotami, pragnącemi w cichości ducha kierować temi nakazami choćby z fotela dyrektora jakiejś marnej budy jarmarcznej — dopóty film musi istnieć, by spełniać — nigdy nie mające się spełnić — rojenia tych istot.

Aby iluzja była wartościową, to znaczy, aby sugerowała wszelkie akcenty prawdopodobieństwa — musi posiadać pozory czegoś, co zdarzyło się naprawdę, co miało miejsce w rzeczywistości. Innemi słowy iluzja filmowa powinna być realną — powinna stać jak najbliżej prawdziwego życia. Gdy iluzja posiada te wartości, ma zapewnione powodzenie.

Stu-procentowy realizm akcji, gry aktorów i tła dekoracyjnego w filmie amerykańskim, jest jedną z głównych podstaw potęgi amerykańskiego przemysłu filmowego.

Realizm ten nie powstał, jakby to mylnie sądzić można, na skutek jakichś konieczności artystycznych, ale wywołany został w filmie amerykańskim niezwykle szczegółową analizę widowni kinowej, którą co wieczór zapełniają miljony ludzi wszelkich ras, upodobań, kultur, nastrojów, temperatur krwi i różnego stopnia inteligencji.

Przemysł filmowy w Ameryce, stworzony został przez ludzi, którzy szczęśliwie dla siebie ziścili rojenia o posiadaniu władzy i pieniądza. W większości ludzie ci, przybyli do Ameryki z paroma dolarami w kieszeni i zaangażowani w najróżniejszych fachach (stojących naturalnie daleko od filmu) ciułali grosze. Kiedy po wielu latach, jako kierownicy składów konfekcyjnych, rękawicznicy, ajenci itd. zebrali trochę pieniędzy, nadarzyła się im możność decyzji. Decyzja ta zapaść miała w okresie powstającej dla kina konjuktury, w czasie, kiedy niemy — posługujący się mimiką i gestami film, stał się jedyną atrakcją dla olbrzymich rzesz emigrantów z całego świata, pracujących gorączkowo w Ameryce i nieznających w większości wypadków — języka angielskiego.

Ludzie, którzy zaangażowali całe swe oszczędności, o które walczyli przez lata w filmie — nie mogli stracić swych pieniędzy i nie chcieli zaprzepaścić swej niezależności. Stąd wzięło się bezwzględne liczenie się z gustami tłumu. Albo tłum ten będzie zadowolony i wsadzone w produkcję pieniądze przyniosą zarobek, albo przeciwnie — i wtedy kapitały przepadną.

Od dawna film amerykański podejmował uparte próby osiągnięcia rezultatów czysto artystycznych, aby pomimo przymusu standaryzacji, koniecznego happy-endu itd., stworzyć film artystyczny w całem tego słowa znaczeniu. Starania te nie dały rezultatów zadawalających. Wielu reżyserów położyło i pokłada w czasie ciągłych prób w tej dziedzinie duże zasługi, kilku innym udało się to przeprowadzić w całości. Filmy artystyczne są jednak wciąż małą tylko częścią ogromnej produkcji która nie wykazuje należytego poziomu.

„Największą przeszkodą, która unicestwia wszelkie niemal wysiłki artystów, okazał się przymus naśladowania rzeczywistości, wynikający z bezwzględnego liczenia się z gustami tłumu". Tak pisze w swej doskonałej książce o kinie amerykańskim René Fülöp-Miller (Wydawnictwo Polskie R. Wegnera, Poznań).

Oto powód, dla którego film amerykański przy swym ogromnym rozwoju technicznym, przy swych środkach materjalnych nie skrystalizował do tej pory postaci X Muzy — pozostawiając ją wciąż w mgławicowych zarysach.

Niewolniczo wierne naśladowanie rzeczywistości, sprzeciwia się zadaniom sztuki. To jest chyba zupełnie zrozumiałe. Celem bowiem sztuki jest tworzenie, a nie odtwarzanie. Wielkie dzieła sztuki odznaczają się zupełną niezależnością od rzeczowego realizmu swych przedmiotów. Tym właśnie stosunkiem do rzeczywistości, legitymuje sztuka swą władczą pozycję, pełną swobody spojrzenia i tworzenia.

Dzieło sztuki dając wrażenie prawdopodobieństwa nie potrzebuje tłumaczyć go małoskowem zbliżeniem do natury, gdyż mieści ono w sobie prawdę równie głęboką i rację bytu równie potrzebną, jak inne prawa tejże natury.

Jednakże film musi się liczyć z ogromną rzeszą swych zwolenników, ludzi nierozwiniętych duchowo, mogących pojąć tylko to, co leży najbliżej prawdy przedmiotowej i potrzebujących zapewnienia, że „to" stało się naprawdę!

Sytuacja filmu jest więc zbliżona do położenia malarstwa czy literatury, z tą jednak różnicą, że sztuki piękne i literatura dostępne są dla ograniczonego koła zwolenników i konsumentów, a istnienie filmu i jego powodzenie uzależnione jest od wszystkich ludzi od najwyższego do najniższego szczebla rozwoju duchowego.

I tak jako podstawę przy produkcji filmu wzięto pod uwagę najniższy stopień inteligencji widza kinowego.

Słusznie powiedział Paweł Simmel, że: „intelekt tłumu nie idzie po linji przeciętnej od najwyższych do najniższych, lecz skłania się wyłącznie ku żywiołom najniższym. Ów punkt, w którym jednoczy się bardzo znaczna ilość ludzkich usposobień, musi stanowczo leżeć bardzo blisko poziomu jednostek najniższych, ponieważ umysł stojący wysoko, może się zniżyć z łatwością, natomiast umysł stojący nisko, nie zdoła się wznieść wyżej".

Bajka musi kończyć się zapewnieniem opowiadającego, że był on naocznym świadkiem opowiedzianych wydarzeń. Wtedy słuchający nabiera dla niej sentymentu, jako dla autentycznego wydarzenia. Ponadto u słuchacza rodzi się nadzieja, że skoro coś wydarzyło się raz, może powtórzyć się jeszcze raz, w wypadku, który będzie go dotyczył.

Tak więc realizm w filmie amerykańskim stanowić ma właśnie to zapewnienie, że historja opowiadana miała miejsce naprawdę.

Ponieważ dla powodzenia bajki nieodzownem stało się zapewnienie autentyczności, więc realizm amerykańskiego filmu — nie sprowokowany względami artystycznemi, a raczej kasowemi — stał się koniecznym w tym filmie, stanowiąc o jego popularności i tem samem rentowności włożonego weń kapitału.

Po żmudnych pracach, wieloletniem doświadczeniu i ogromnych wysiłkach, realizm



M. O'Sullivan w namiocie — przygotowuje się do zdjęć.

U dołu: Domy na palach, deszcz, groźna dżungla, ciemna noc — wszystko to stworzono w studjo.



U dołu: Przygotowania do zdjęć plenerowych do filmu „Nasz chleb powszedni".



ten doprowadzono w filmie amerykańskim do ostatecznej doskonałości i nawet szablonu. Realizm pomimo licznych sprzeciwów artystów, po próbach secesji, po buntach rewolucyjnych — zatriumfował ostatecznie i króluje dziś prawie niepodzielnie w studjach X Muzy w Hollywood.

* * *

Czemżesz jednak jest ten amerykański realizm?

Dobrą odpowiedzią powinien tu być przykład, cytowany przez autora książki o kinie amerykańskim — René Fülöp-Millera. Oto co mówi autor: „Boleśnie zaiste odczuła wyższość pracowni nad rzeczywistością pewna amerykańska wytwórnia filmowa, która nabyła prawo nakręcania na taśmę jednej z wojen domowych w Meksyku. Dowódca powstańców, Pancho Villa, otrzymał z góry wynagrodzenie w kwocie 25.000 dol. i dokładał starań, aby wielkie, rozstrzygające bitwy odbywały się w obecności operatora kinowego i przy korzystnem oświetleniu. Ku uciesze swych klientów Pancho Villa rozkazał nawet zbombardować granatami oddział jeńców wojennych, aby można było oglądać na ekranie, jak fruwają w powietrzu rozszarpane kawały ludzkich ciał. Pomimo wszystko rezultat tych zdjęć okazał się zupełnie niewystarczający, a przedsiębiorstwo filmowe musiało się zdecydować „rozegrać" dalszy przebieg kampanji w swoich własnych pracowniach w Los Angelos! Tam dopiero pod kierownictwem doświadczonego reżysera Griffitha można było stoczyć najwspanialsze bitwy wśród nastrojowych dekoracyj z drzewa i tektury na podstawie szczegółowo przemyślanego scenarjusza. W tych fałszowanych zdjęciach straszliwa groza wojny czyniła o wiele większe wrażenie".

Realizm więc amerykańskiego filmu nie polega na ścisłem fotografowaniu i odtwarzaniu — rzeczywistości, ale na jej wyolbrzymianiu, podkreślaniu pewnych faktów czy szczegółów akcentujących autentyczność. Realizm ten omija i wystrzega się jakiejkolwiek stylizacji, która-by prawdopodobnie umożliwiła nadanie obrazom artystycznego wyrazu. Wie on bowiem, że taka forma byłaby mniej dostępna dla widza, niż dostrzegalna i namacalna prawie, jak w życiu codziennem, rzeczywistość.

Symbole, przenośnie, assocjacje wzrokowe, czy słuchowe w filmie byłyby zbyt niebezpieczne. Lepiej więc wystrzegać się ich na korzyść przejaskrawionej, czasem nawet brutalnie nieskomplikowanej, a doświadczanej przez widza na codzień prawdy życiowej.

To narzucone koniecznością stosowanie się do zaznanych form życia, dających się odczuć w równym stopniu przez całą widownię kinową, niweluje wysiłki malarzy, rysowników, dekoratorów, aktorów i reżyserów, sprowadzając je do wspólnego rezultatu, niecmal szablonowego wyniku pracy twórczej.

Wszystkie twórcze jednostki pracujące przy nowopowstającym filmie, świadome olbrzymich możliwości, jakie daje kino — leżące, jak wiadomo, zdala od sztuk i teatrów, a korzystające i opierające swoją rację bytu zarówno na zdobyczach i doświadczeniach sztuk pięknych, literatury, jak i muzyki — otóż wszyscy twórcy filmowi pragną wprowadzić do kina coraz to nowe wartościowe elementy. Wiele jednak nietylko z oryginalności tych pomysłów, ale także z ich treści przepada bez śladu w drodze z pracowni do studjo. Specjalnie komisje, badające najdrobniejszy szczegół scenarjusza, podkładu muzycznego, czy dekoracji, obstają zbyt silnie przy stosowaniu twardej rzeczowości.

Niemniej jednak w pracy ludzi takich, jak J. Sternberg, J. Feyder, Korda, Lubitsch, King Vidor, Cecil B. de Mille, W. Beery, Bancroft, W. C. Monzie, A. Grot, Gibbon, Urban, Fleischer, W. Disney i całej plejady



Stare miasteczko powstaje jak za dotknięciem różdżki na pustych terenach.

innych, przejawia się taki ogrom twórczej inwencji, widocznej pomimo licznych hamulców, że śmiało rzec można, iż film amerykański ma olbrzymią przyszłość przed sobą.

Kiedyś potrafi on bez wątpienia odsłonić oblicze X Muzy — pełne uśmiechów i obietnic. Przed filmem jednak leży jeszcze olbrzymia droga, od niskiego schlebiania gustom tłumu — do bezkompromisowego i szczerego uznania, że jest sztuką i jako taka musi wyzbyć się niskich instynktów.

* * *

Realizm w filmie amerykańskim, jest tak dalece przekonywujący, że nawet zimne, zdolne do analizy umysły, opuszczają salę kinową bez przeświadczenia, iż zostały oszukane.

Nie należy sądzić, aby kłamstwo filmowe było niemoralne. Wręcz przeciwnie,

Dla jednego epizodu — zbudowano w studjo kosztowną łazienkę, w której można się naprawdę ...kąpać.

jest ono pomyślane nader uczciwie. Ponieważ kino handluje iluzjami, przeto trzeba te iluzje zbliżyć do rzeczywistości.

Omawiany realizm czyni, iż po skończonym seansie kinowym, kiedy zapalają się kinkiety — nikt nie zastanawia się, nie próbuje krytykować, ani poddawać w wątpliwość „rzeczywistości" jaką przed chwilą roztoczył przed widzem czarno-biały obraz na ekranie.

Nie jest zadaniem tego artykułu omawiać sposoby i tricki filmowe, które ułatwiają kinu drogę do ośrodków uczuciowych człowieka. Chodzi tu jedynie o stwierdzenie, że realizm filmu amerykańskiego jest tak absolutny, iż wyklucza prawie wrażenie czegoś sztucznego. Poza tem chodzi o to, aby zrozumieć skąd wzięła się ta dążność do uzyskania maksimum prawdopodobieństwa.

Poniżej: Na drewnianej krypie — ustawiono dekorację — przedstawiającą fragment pokładu pancernika.



Olbrzymie kapitały zaangażowane w filmie amerykańskim, pozwalają na inwestowanie w dekoracji takich sum, jakie wystarczyłyby nieraz do wzniesienia autentycznej budowli niepoślednich rozmiarów. Rzecz jasna, że na tle czegoś „prawdziwego" rozgrywać się musi „prawdziwe" zdarzenie. Realizm gry aktorów i tysiąca drobiazgów, montaż i sposób fotografowania — wspólnemi siłami wspierają gmach ułudy, dając w rezultacie przerysowany, ale właśnie dlatego „autentyczny" obraz wyczuwanej w mglistej wyobraźni widza baśni z dalekich stron.

Świadomość, że człowiek znajduje się np. w Londynie, czy Pekinie, wyrównuje pełnię wrażeń w odczuwaniu danego ośrodka i jego egzotyzmu. O wiele jednak silniejszych akcentów potrzeba, gdy komuś chce się zasugerować pobyt, czy widzenie czegoś odległego.

Dlatego to filmowa ulica w Pekinie, posiada tyle akcentów swej egzotyki, że stałaby się ona zapewne obcą dla mieszkańców Pekinu. Innemi słowy, Pekin filmowy jest o wiele bardziej chiński, niż w rzeczywistości.

Tyle odnośnie do tła. Wydarzenia filmowe, aby wzbudzić zainteresowanie widza kinowego muszą, rzecz jasna, być również specjalnie reżyserowane, odpowiednio posegregowane na epizody, podzielone na fragmenty, i ujęte wreszcie w ogólną panora-



mę, aby wydać się prawdziwemi. Najlepszym tego dowodem jest zresztą przykład z Pancho Villa.

Wszystko to jednak nie jest bynajmniej stylizacją i nową formą wypowiadania się, którą winno być kino, ale starannem akcentowaniem znanej rzeczywistości, odpowiednim preparowaniem realizmu, który w swej surowej formie posiadałby zbyt niską wartość fotogeniczną i emocjonalną.

Film dźwiękowy dał nowe pole do popisu kinowemu realizmowi. Ponadto wprowadził on niemały galimatjas do sztuki filmowej. Dopiero lata pracy i fakt oswojenia się z nowym argumentem filmowym — dźwiękiem — pozwoliły na spostrzeżenie, że właśnie ten dźwięk stanowi olbrzymią odskocznię i pretekst do szybszego stworzenia filmu prawdziwego, którego nazwanie sztuką nie będzie bluźnierstwem.

Minie zapewne jeszcze wiele czasu, zanim uda się przemycić do kina rzecz skończenie artystyczną, która nie będzie kompromisem, a czystym wyrazem.

Rzeczywistość filmowa oprzeć się będzie musiała na sile i wartości swego wyodrębnionego efektu i działania, a nie jak to dotąd się dzieje na amerykakańskim 100-procentowym naśladownictwie życia i natury, co bezsprzecznie jest jedną z dróg do celu, a nie samym celem. **J. M. B.**

DOKTÓR KRZYSZTOF

ANTONINA TEODOROWICZ

NOWELA

Doktór otworzył drzwi i wszedł do holu. Na powitanie podniósł się z przed kominka wielki dog i machnął parę razy ogonem dla zadokumentowania swej radości. Doktór pogłaskał go machinalnie po ogromnym łbie i stał tak dłuższą chwilę, nadsłuchując.

Przechodząc przez ogród, widział na piętrze, w oknie buduaru żony, wysoką, znaną tak dobrze sylwetkę doktora Falla. To, że był tu podczas jego nieobecności, nie dziwiło go już, wywołując jednak zawsze taki sam dławiący, ostry spazm bólu. Ale nigdy jeszcze nie majaczyła tamta zgrabna, o szerokich ramionach postać w miłym, zacisznym buduarze Pauli.

— Leżeć, dog, leżeć! — poklepał psa po miękkiej skórze. Przeszedł do łazienki, umył się wodą kolońską, zatarł ostatnie zapachy szpitala. W lustrze zobaczył swą twarz bladą, podłużną, o chorowitych rumieńcach pod oczami. Jego wielkie, orzechowe, piękne jak u kobiety czy dziecka oczy, z pod wygiętych łagodnie rzęs, patrzyły na swe odbicie nieruchomym, osłupiałym wzrokiem. Przetarł je więc również odświeżającym zapachem szczypiącej wody, przygładził włosy i swym cichym, kołyszącym się krokiem garbusa wszedł na górę. Pies postępował za nim, oddychając głośno. Przed drzwiami buduaru zatrzymał się niepewnie. Przez chwilę opanowywał szybki, nierówny oddech. Spokojnie.... spokojnie! — powtarzał sobie w duchu ostro. Wszedł. Nikogo! Pusty, pachnący znanym mu dobrze zapachem perfum Pauli buduar, uderzał spokojem, ciszą i pustką.

Czując znów podchodzący do gardła ostry ból serca, przeszedł przez następny pokój i już za drzwiami doleciał go głośny śmiech żony. Dźwięczne, srebrzyste tony przelatywały powietrze, jak ostre szpileczki i tysiącem kłujących dotknięć wbijały się w doktora.

Stali przy oknie zwróceni plecami do drzwi, rozdzieleni przestrzenią kilkunastu centymetrów zaledwie. Ich wysokie, zgrabne i smukłe sylwetki rysowały się wyraźnie na jasnem tle szyb. Na cichy stuk otwieranych drzwi, Paula odwróciła się. Zdążył jeszcze zauważyć, nim zgasł, złoty, płomienny błysk w jej szarych, tak zimnych zwykle oczach. Podeszła ku niemu prosta i śliczna, wyciągając zdalega już ręce.

— Krzysztof! Cóż tak długo dzisiaj? Gdyby nie doktór Fall i jego zabawne anegdoty, zanudziłabym się na śmierć! Dużo roboty? Zmęczony? — pytania padały czysto, jasno i chłodno grzecznie, jedne po drugich. Panowie przywitali się. Ich ręce przez sekundę zetknęły się. Długie, nerwowe, zawsze wilgotne palce Krzysztofa cofnęły się może o ćwierć sekundy za wcześnie, jakby sparzone suchem, gorącem dotknięciem rozpalonej ręki Falla. Wywołało to lekki, ledwo dosrzegalny skurcz warg tamtego i jego niski, głęboki głos odezwał się z lekkim sarkazmem:

— Doktór przepracowany: cóż dziwnego. Taka sława! Tylu pacjentów! Siadajmy. Papierosa doktorze?

Paula zakrzątnęła się koło małego stoliczka z czarną kawą, przysunęła go do Krzysztofa, nalała mu maleńką, chińską filiżankę pachnącej, aromatycznej kawy. Pochyliła się tak blisko nad nim, podając mu ją, że zapach jej włosów uderzył mu o nozdrza ostro, drażniąco... a delikatne dotknięcie drobnych, wyraźnych pod lekką sukienką piersi pozbawiło przez chwilę przytomności.

Paula.... Paula, Paula! — zagryzł zęby mocno, jakby chciał zgryźć i wtłoczyć zpowrotem na swoje miejsce ten skowyczący ból i szarpiącą tęsknotę całego ciała za nią, za tą jedną jedyną, bliską, a tak nieosiągalnie, rozpaczliwie daleką! A Paula już usiadła obok, zapadła się w miękki fotel i zwróciła się do niego:

— Krzysztof! Czy wiesz co umówiliśmy z doktorem? Ty weźmiesz urlop wtedy, gdy doktór będzie wolny i pojedziemy sobie razem w trójkę nad morze. Pomyśl, cudownie, co? Będziesz mógł?

Nie odpowiedział przez długą chwilę.

Na stoliku, przysuniętym przez Paulę, na kryształowej popielniczce leżały niedbale rzucone ogarki papierosów, znanych mu dobrze papierosów Falla. Na jednym z nich, wyraźnie na białym ustniku, widniała krzycząca ciemną czerwienią plama pomadki do ust Pauli.

Błyskawicznie przebiegło mu przez mózg tysiące myśli. Więc to, że Paula nie pali, a tembardziej nigdy papierosów z ustnikami. I to, że gdy czasem zaciągała się jego papierosem, raz, czy dwa, była wtedy zawsze podniecona, niespokojna, drażniąca.... I to, że papieros zgnieciony był ręką mężczyzny gwałtownie, szybko, niecierpliwie... podczas gdy Paula gasiła zawsze papierosy lekko i niedokładnie. A więc... A może poprostu poprosiła o papierosa i wypaliwszy do końca, zgasiła? A moje jednak...? Ale wiedział i czuł wyraźnie i jasno, że było właśnie tak, jak widział to w myślach. Siedzieli przy czarnej kawie na kanapce obok siebie, blisko, śmieli się, rozmawiali... wyraźnie widział jeszcze płonący, nieznany mu błysk w oczach Pauli, gdy wszedł. Wzięła od niego papierosa... zaciągnęła się dymem głęboko, głęboko... potem podała mu go wprost do ust, patrząc przytem w oczy swem syrenim, dziwnem spojrzeniem szarych oczu. A potem... mężczyzna napół wypalonego papierosa zgniótł niecierpliwie na popielniczce.

Krzysztof oderwał wielkie, płonące dziwne oczy, sojrzał na Paulę. Siedziała pochylona do przodu, obejmując rękami kolana z pytaniem w jasnych, przejrzystych jak woda bez dna oczach. Milcząco, długo zmierzyli się spojrzeniami. Paula pierwsza opuściła powieki, usta jej drgnęły lekko. Gdzieś głęboko, pod jasną tonią źrenic, zamigotał niespokojny błysk i skrył się za rzęsami. Spytała jakoś dziwnie prędko, nerwowo, jakby zupełnie nie w związku z ostatniem pytaniem:

— Krzysztofie?... I cóż?

Podniósł się trochę ciężko z fotelu. Zawsze z pewną trudnością podnosił swą małą, obciążoną garbem postać z miękkich, głębokich foteli. Patrząc w przestrzeń, tak jakoś między głowami tych dwojga, powiedział wolno i bezdźwięcznie, głuchym, zduszonym głosem:

— Nie! Nie będę mógł. Nie pojedziemy A teraz pan pozwoli — tu zwrócił się do gościa, nie wyciągając ręki, — że go przeproszę i pożegnam. Jestem bardzo zmęczony i chciałbym się położyć...

Jakoś tak się stało, że wstali oboje i patrzyli na niego. W drzwiach odwrócił się, ale tylko poto, by zawołać na psa. Wyszedł. Zostawił ich tak stojących obok siebie, z pytaniem w oczach. Pauli drżały wargi. Nie patrząc, widział to.

Leżąc w swej dużej, przyjemnie chłodnej sypialni, palił papierosa i rozmyślał po raz tysiączny, dlaczego właściwie Paula wyszła za niego zamąż? Jeszcze wtedy nie był tem, czem jest dzisiaj: operatorem, sławnym na cały świat. I ta sława nie przynosiła mu jeszcze tych wszystkich wygód i przyjemności, które można dostać za pieniądze, co dziś. A jednak pewnego dnia, on, kaleka, garbus, o wiecznie spoconych rękach, wziął na wyłączną własność tę cudną, młodą, ukochaną kobietę, niewiadomo, jak i dlaczego. Kaprys? Chęć wyjścia zamąż poprostu? Nie, to nie Paula! Przytem była zawsze dla niego pełna dobroci i serca, tylko czemu, przez tyle lat, nie widział w jej szarych oczach nigdy tego ciepłego, pełnego żaru błysku, który dziś lśnił w jej źrenicach?

Przewrócił się niecierpliwie na drugi bok, poduszki, rozpalone, paliły go swym żarem. W gardle zaschło. Wielka, ogarniająca go całego żałość i tępy, uparty ból powoli zatapiał go w swej potędze, zalewał, pochłaniał.... Paula, Paula! — szeptał ruchem warg, rozpalonych i suchych, drgających pulsującą krwią. Paula!

Godziny mijały. Już dawno słyszał trzask zamykanych drzwi. Doktór Fall odszedł. Co robiła na dole Paula, sama? Mimowoli nasłuchiwał wciąż każdym nerwem, kiedy jej lekkie, tańczące kroki poczną się piąć na górę, cichutko. Leżał bez ruchu, wpatrzony swemi wielkiemi oczyma w szary mrok, rozjaśniony niepewnie małą, mdłą lampką. Chciałby jej dać wszystko. Chciał zawsze dać jej szczęście, sławę, bogactwo... a udało mu się zdobyć dla niej tylko bogactwo i sławę. Jakiś wysoki, nie do przebycia mur stał od samego początku pomiędzy nimi, pozwalając im iść zawsze obok siebie, lecz nigdy razem.

Drgnął i usiadł na łóżku. Paula szła. Jego wytężony niepokojem słuch wyłapał już zdaleka delikatne, posuwiste kroki kobiecych pantofelków. Szła wolno na górę. Położył się, ułożył na poduszkach, przykrył kołdrą. Za chwilę, jak zawsze od wielu lat, rozchyli trochę drzwi, fala światła z rysującą się wyraźnie kształtną główką wedrze się do pokoju i najmilszy, słodki głos powie mu codzienne: Dobranoc, Krzyś!

Sprężony wewnętrznie, niespokojny niecierpliwy, czekał Jeżeli wejdzie, powie... jakoś się przecież wszystko ułoży, ustali, zbiegnie... byle nie zaglądać za ten wysoki mur, nie grzebać w uczuciach, nie badać! Jego Paula! Czyż nie pragnął tylko i wyłącznie jej szczęścia.

W ciszy wielkiego domu lekkie kroki zbliżyły się, zawahały chwilę, skręciły ku drzwiom... szybciej, nerwowo poszły dalej. Stuknęły drzwi jej sypialni. Poszła. Nie przyjdzie już.

Opadł ciężko na poduszki. Garb uwierał dziś gorzej niż zwykle, przypominał się ciągle i ciągle... Leżał tak bezsennie z szeroko otwartemi oczami w ciemności, aż wreszcie ciężki, przemożny sen zmęczenia legł mu na oczach władczo i nieomylnie.

Wyrwało go gwałtownie ze snu wołanie Pauli:

Krzysztof! Krzysztof! Zbudź się!

Momentalnie usiadł na łóżku, przecierając nieprzytomnie oczy. Paula w długiej nocnej koszuli, z przerażonemi, rozpalonemi oczami szarpała go za ramię, powtarzając rozpaczliwie:

— Krzysztof! Zbudź się, Krzysztof!

— Ależ nie śpię już, Paula! Co ci jest? Co się stało? — zawołał przerażony.

Ocknęła się jakoś. Jej zwykle drobna twarzyczka była teraz tak blada, że wyglądała jak stulony pęk białego kwiatu. Tylko oczy wielkie i dziwnie płonące wpatrywały się w doktora błagalnie i niecierpliwie.

— Krzysiu, słuchaj! Był telefon, wzywają cię do szpitala, żebyś operował natychmiast. Żebyś zaraz pojechał... Och, Andrzeju, Andrzeju! — zaniosła się nagle dziecinnym, głośnym szlochem. Bezsilnie usiadła na łóżku, ramiona jej drgały od płaczu, jak dziecku. Z początku nic nie rozumiał: „Andrzeju"?

Potem myśli rozjaśniły się i rozdzierający, szarpiący wściekle ból, rozdarł mu serce. Więc to jednak!... Więc tak? Patrzył bezmyślnie i obojętnie na płaczącą Paulę. Niech płacze! To nic. Jego ból, jego uczucia nie liczyły się, nie były dla niej niczem. Była tylko ona i — tamten!

Położył się zpowrotem i przykrył kołdrą. Paula oderwała ręce od twarzy i nagle zerwała się, krzycząc ostro:

— Wstawaj! Czy nie słyszałeś? Doktór Fall chory! Musisz go przecież zaraz operować!

Wzruszył machinalnie ramionami i głębiej podciągnął kołdrę. Z zaciętemi wargami patrzył wprost na Paulę, nie mówiąc nic. Widocznie jednak oczy te mówiły więcej, niż słowa, bo Paula powoli odsuwała się, cofała, przyłożyła rękę do piersi obronnym, przerażonym ruchem. Wreszcie wyszeptała ochryple:

— Ty... nie chcesz?!

Znowu ten obojętny, okrutny ruch ramion. Po długiej chwili ciężkiego milczenia odezwał się spokojnie:

— Cóż, Paula! Czy tylko ja jestem na świecie? Może go przecież kto inny operować. Ja jestem taki zmęczony... czyż to dla ciebie nie jest ważne?

Przesunęła ręką po czole, jakby odganiając jakiś natrętny koszmar. Miała ochotę krzyczeć i szarpać rękami tego nienawistnego jej w tej chwili człowieka. Andrzej był chory... chory! Kołatało w mózgu boleśnie strachem. Rzuciła się w stronę łóżka i przemocą prawie zmusiła go, żeby spojrzał na nią:

— Słuchaj, Krzysztof! Trzeba, żebyś zaraz jechał, rozumiesz? On tam na ciebie czeka! Powiedział, że tylko tobie da się operować. To ciężka rzecz... czy ty naprawdę nie chcesz? czy ty naprawdę zrobisz to, żeby...

Urwała wpół słowa, zachłysnęła się dławiącemi łzami. Tuż przed sobą miała jego, wielkie, znane, orzechowe oczy. Patrzyły na nią jakiemś dziwnem, przejmującem do głębi spojrzeniem, wgryzającem się chyba aż na samo dno duszy. Było w tych oczach coś tak bardzo żałosnego, nieprzytomnego prawe z bólu, że serce Pauli przez chwilę wróciło do niego i ogarnęło przez moment cały ten ogrom męki. Pochyliła się nad nim i powiedziała cicho:

— Krzysiu... posłuchaj, czy nie rozumiesz? Ja kocham Andrzeja. I tak mi żal...

— Kochasz? — powtórzył. — Kochasz? A ja?

Nie otrzymał odpowiedzi. Milcząc, stała pochylona nad nim, drżąca ze zdenerwowania i niepokoju. W oczach jej było morze błagania o zrozumienie i litość! Oto teraz, widział to, on był najważniejszy. Był w tej chwili dla niej wszystkiem... choć nie w tem znaczeniu, którego pragnął. Była wydana na jego łaskę, na jego wolę i chęć. Zbudziło się w nim nagle, ostre, gorzkie i palące uczucie pożądania. Zgnieść ją w ramionach, zmusić do jęku prośby te zawsze dumne, milczące usta, chłodne, szare oczy! Źrenice poczęły mu migotać gorącym, złym blaskiem. Uniósł się lekko na poduszkach i wyciągnął ku niej ręce. Wolno, bardzo wolno i niepewnie, zbliżyła się. Wtedy siłą prawie porwał ją w ramiona, przycisnął do piersi i wpił się z całej siły w jej usta. Poddały mu się biernie, chłodne, bez życia.

— — — — — — — —

Puścił ją. Wzburzonym, gorącym głosem począł mówić prędko i nerwowo:

— Paula, słuchaj! Dobrze. Pojadę, będę operował! Ale ty... ale ty wrócisz do mnie, jako moja żona, tak, jak dawniej było... rozumiesz? Nie mogę tak dłużej, Paula, nie mogę! Będziesz znów moją, znów dla mnie tylko, przy mnie... a jego nie zobaczysz już więcej! Czy chcesz, Paula? Powiedz, chcesz?

W miarę, jak mówił, twarz jej bladła coraz więcej, stawała się jeszcze więcej martwa i bez życia. W oczach jej wzrastał wyraz strachu, odrazy i nienawiści, aż poczęła płonąć ponurym, złym blaskiem. Nie zauważył tego. Podniecony i uczepiony jej rąk, powtarzał niecierpliwie:

— No, powiedz Paula! Chcesz? Powiedz!

Przez chwilę jeszcze patrzyła na niego z bezmierną pogardą i politowaniem w oczach, a potem powiedziała spokojnie, ale bardzo cicho:

— Dobrze. Jedź.

W pół godziny później wchodził już na salę operacyjną, zasłonięty całkowicie bielą, mdły i drobny. Fall leżał już na stole operacyjnym, siostra asysentka przygotowywała się do odmierzania mu na maskę eterowych kropel. Twarz jego, ściągnięta straszliwemi bólami, zmieniła się od wczoraj do niepoznania. Oczy zapadły się wgłąb, nos wystający i ostry rysowały się surową linją. Oczy błysnęły mu na widok Krzysztofa.

— Proszę liczyć — powiedziała siostra i poczęła odmierzać krople. Ale zamiast tego, Fall powiedział cicho swym niskim, miłym głosem:

— Dziękuję, że pan przyszedł, doktorze! Teraz jestem spokojny.

Krzysztof nie odpowiedział. Na widok tego człowieka odżył cały ból, nienawiść i smutek. Z nad białej maski na twarzy patrzył wprost w tamte pociemniałe z bólu źrenice i czuł, jak wzbiera w nim w głębi cicha jeszcze, lecz nieustępliwa chęć zadania jakiegoś okrutnego ciosu, zniszczenia tego człowieka zupełnie bez reszty. Była w nim teraz chęć straszliwej zemsty za wszystek ból i rozpacz tych ostatnich godzin.

Jest tak, jak ona... na mojej łasce!... — przemknęło przez myśl ostro i natrętnie — gdybym chciał... nikt by nie zauważył przecież! Gdybym chciał, żeby zginął.... Paula, może wróciłaby wtedy całkowicie...? Niktby nie wiedział przecież... — szumiały mu myśli niespokojnie i paląco. — Jeden nieostrożny ruch, jedno przesunięcie noża....

Drgnął na głos siostry, oznajmiającej, że pacjent usypia. Pochylił się nad tamtym, zbliżył swą rozpaloną twarz do tamtej, białej, śmiertelnie zmęczonej. Oczy chorego rozwarły się nagle ostatnim odruchem świadomości. Nieprzytomnie zatoczył źrenicami. Wreszcie wzrok jego przylgnął mocno do oczu Krzyszofa, zatopił się w nich, przywarł. Nagle chciał się unieść, ostanim wysiłkiem poruszył wargami i wychrypiał niewyraźnie:

— Paula... Pamiętaj, Paula będzie wiedziała...

I zapadł w otchłań uśpienia nagle i ostatecznie. Operacja zaczęła się....

— — — — — — — —

Gdy w przeszło godzinę potem Krzysztof wszedł do swego lekarskiego gabinetu, zerwała się na jego widok skulona na fotelu postać Pauli. Jej duże zawsze oczy, teraz wyobrzymione strachem i cierpieniem, spoczęły na twarzy męża z nieopisanym wyrazem niepokoju. Nie miała siły przemówić. Wargi jej drgały, twarz skurczyła się nerwowo, zbladła strasznie. Coś się w nim zbudziło ciepłego, czułego dla niej, na widok tych wielkich, nieprzytomnych z niepokoju oczu. Podszedł do niej i kładąc ręce na jej ramionach, przemówił łagodnie, jak do dziecka:

— Spokojnie, Paula, spokojnie! Już wszystko dobrze! Będzie żył.

Pół-szloch, pół-jęk wydobył się z jej ust. Oczy nagle napełniły się łzami. Odwróciła się, bezsilnie oparta o fotel stała tak, z ramionami drgającemi od tłumionego siłą płaczu. Patrzył na nią długo, wzrokiem pełnem zmęczenia i rozterki. Wreszcie dotknął delikatnie jej pleców:

— Paula!

Oderwała ręce od twarzy. Policzki jej byby zupełnie mokre od łez. Słodkie, boleśnie słodkie uczucie współczucia targnęło nim na widok tej jej mokrej od łez, zaczerwienionej twarzyczki. Uśmiechnął się i wyjąwszy chusteczkę, począł wycierać delikatnie tę bezbronną twarz, mówiąc cicho:

— No, no, Paula, spokojnie! Już przecież dobrze! mówię ci. Nie płacz! Usiądź tutaj. — Posadził ją w fotelu. Sam usiadł za biurkiem i milcząc wpatrywał się uważnie w jej twarz, jakby chciał wbić sobie w pamięć każdy jej rys, drgnięcie rzęs, ruch. Wreszcie Paula pierwsza odezwała się:

— Czy pozwolisz, żeby jeszcze raz... i już nigdy więcej, spojrzała na niego? Chciałabym go pożegnać... On jest nieprzytomny, tak?

Skinął wolno głową, wciąż patrząc na nią. W jego ciemnych oczach płonął teraz spokojny, jasny płomień, który zdawał się rozświetlać całą tę smutną twarz. I on podniósł się, ujął ją za rękę:

— Dobrze, chodź, zaprowadzę cię.

Posłusznie poszła za nim długiemi, pachnącemi mieszaniną eteru, lekarstw i choroby korytarzami. Biała szpitalna cisza spowiła ich ciasno. Minąwszy kilkadziesiąt jednakowych drzwi, zatrzymali się wreszcie. Krzysztof nacisnął cicho klamkę i zboku spojrzał niespokojnie na Paulę. Była bardzo blada, ale wydawała się spokojna. Weszli.

Fall leżał na wąskiem szpitalnem łóżku nieruchomy i blady. Ręce wyciągnięte sztywno po bokach ciała, leżały bezsilne, przejrzyste, jakby poznaczone drogami błękitnych, nabrzmiałych żył.

Paula podeszła wolno, na palcach. Siostra, czuwająca przy łóżku, na znak doktora wysunęła się cicho. Krzysztof podszedł do okna i niewidzącym wzrokiem patrzył na otaczający szpital ogród. Bajecznie kolorowe kwiaty krzyczały gamami kolorów, wśród równiutkich dywanów trawy. Drzewa poruszały się na wietrze, tańczyły, strzelały w niebo zielenią liści. A nad tem wszystkiem ogromne, letnie niebo z białemi, jakby nadmuchanemi wiatrem obłokami, zdawało się drgać i iskrzyć miljonem słonecznych błysków.

— Paula! — myśli Krzysztof. — Moja żona. Moja jedyna, ukochana żona!

— Andrzeju! Andrzeju! — brzmi za nim tłumiony szlochem, zrozpaczony głos Pauli. Kochany, zawsze będę twoja, zawsze! Kocham cię Andrzeju, słyszysz? Kocham cię!

W jej głosie brzmi straszny, dławiący słowa ból. Krzysztof odwraca się wolno. Wargi zbielały mu, zacięły się w jakąś ostrą, prostą

Dokończenie na str. 20-tej



BRZEGIE[M]
BAŁTYKU
Fot. dr. P. WOL[...]

„Czwarta Halamka"

O „czwartej Halamce" oddawna kursowały w światku teatralnym wiadomości tajemnicze i zakonspirowane.

Znaliśmy i znamy doskonale trzy siostry Halama: Lodę, Zizi i Alicję, zwane popularnie „Trzema Halamkami". Wszystkie zdobyły najwyższe pozycje w hierarchji cór Terpsychory w kraju, a dwie, Zizi i Loda znane są daleko poza granicami Polski.

Istniała jednak „gdzieś" czwarta Halamka, najmłodsza. Gdzie? — niewiadomo.

Obdarzeni dobrą pamięcią bywalcy teatralni pamiętali, że dawno, może jakie dziesięć lat temu, oglądali tę czwartą Halamkę „na własne oczy" w teatrzyku „Qui-Pro-Quo", w którym występowała jako kilkuletnie dziecko w jednym „numerze" z Zulą Pogorzelską. Od tego czasu słuch jednak o małej Halamce zaginął.

Aż tu nagle autentyczna „czwarta Halamka" zjawia się na afiszu jednego z warszawskich teatrów operetkowych.

Cieszę się zgóry na niecodzienny wywiad, do naszej rubryki „najmłodszych gwiazdek". Będzie to wywiad, który odsłoni prawdziwą tajemnicę...

Wieczór na melodyjnej operetce „Wiktorja i jej huzar". Osóbka, która w programie figuruje jako Lena Halama, jest bardzo miłem i sympatycznem zjawiskiem. Gra małą rólkę, chłopca Chińczyka, w którego stroju wygląda bardzo miło i pociągająco. Tańczy przed kapłanem chińskim solowy taniec podczas uroczystości ślubnych, przyczem taniec ten wykonywuje z umiejętnością urodzonej tancerki. Otrzymuje szczere entuzjastyczne brawa.



Na prawo: Najmłodsza z czterech sióstr, Lena Halama. *Foto FORBERT — Warszawa.*

Następuje oczywiście nasze spotkanie. Przedstawiam się i — stoję zakłopotany. Jak zacząć ten wywiad, który miał być „innym" wywiadem? Wreszcie wyrywa mi się z ust kapitalne głupstwo:

— To... to.... pani jest naprawdę... czwartą Halamką?

Panna Lena śmieje się serdecznie z mego zamieszania i — bądźmy szczerzy — z niestosowności mego pytania.

— Ależ tak, naturalnie — odpowiada po chwili.

— W takim razie gdzie pani była, gdzie pani chowała się tak długo?

— Byłam w klasztorze.

— Co takiego??

— W klasztorze. Kilka lat...

— A... a... teraz pani tańczy?

— Tańczę. czy jest w tem coś dziwnego? Najpierw byłam w klaszorze w Polsce, potem kilka lat w Belgji. Skończyłam tam szkołę średnią, poznałam doskonale języki obce, krótko mówiąc, ukończyłam edukację. No i teraz zostaję tancerką.

Ciągle jeszcze nie mogą mi się skojarzyć dwa pojęcia: klasztor i tancerka. Aby zostać tancerką, dobrą tancerką, nie wystarczy po maturze gimnazjalnej rozpocząć naukę tańca — Trzeba się go uczyć od dziecka. Dzielę się tem spostrzeżeniem z panną Leną.

Żywa, młoda dziewczyna o dużych, czarnych, śmiejących się oczach, opowiada:



Na lewo: Lena Halama w operetce „Wiktorja i jej huzar". *Foto FORBERT — Warszawa.*

— Do tańca miałam zdolności od dziecka. sza uważała, że gdy trzy, z czerech sióstr są już tancerkami, — czwarta chociaż powinna pójść inną drogą. Wobec tego zdecydowała, iż nie będę uczyła się tańca...

— No, a przecież wystąpiła pani raz w „Qui-Pro-Quo"?

— To był wyjątkowy wypadek. Miałam wówczas niecałe siedem lat. Przyszłam raz na próbę, żeby zobaczyć, jak tańczą siostry: właśnie potrzebowano małej dziewczynki dla skompletowania pewnego numeru z Zulą Pogorzelską. Ale to był mój pierwszy i ostatni wówczas taniec. Jak mówiłam, kształciłam się przeważnie w penjonatach dla dziewcząt przy klasztorach. No i niech pan sobie wyobrazi, co się działo w klasztorze w Belgji, gdzie przebywałam najdłużej! Byłyśmy wychowywane bardzo postępowo. Dla dziewczynek urządzano bardzo często wieczorki artystyczne i przedstawienia. Zagarnęłam dla siebie wszystkie „role", w których można było tańczyć, bądź samej, bądź komponując tańce i ewolucje dla koleżanek. W ten niby podstępny, a w rzeczywistości bardzo prosty sposób nie wyszłam z wprawy w tańcu. No i kiedy ukończyłam szkoły....

— Mamusia dała się przekonać — snuję za pannę Lenę dalszy ciąg opowieści.

— Tak jest, zgodziła się na to, aby i ta „czwatrta", najmłodsza, wychowana w klasztorze córka, została tancerką...

— I jest pani szczęśliwą? — zadaję na zakończenie pytanie.

— Ależ tak! — mówi wesoło „czwarta Halamka". — Marzyłam o tem przez całe dzieciństwo!

Romit.

NA »KOLE« PRZEZ BESKID ŚLĄSKI



Należy nam się wypoczynek zanim zaczniemy się wspinać na słoneczną serpentynę Kabalonki. Szosa była wyśmienita, gładziusieńka, jak lustro, jednak nogi, od kilkugodzinnego naciskania pedałów, porządnie zbolałe. Ustawiamy nasze rowery pod stosem sosnowych belek, a sami rozsiadamy się na szczycie pachnącej żywicą piramidy. Przed nami serpentyna kładzie się białą wstęgą na szmaragdowem zboczu, ginie w kępach ciemnego lasu, by znów ukazać swe śmiałe skręty wyżej, coraz wyżej. Czarne żuczki samochodów gramolą się, przystają, zawracają, pozornie bezmyślnie i bezcelowo. Nie większy od ziarnka grochu, wał drogowy sunie tam i zpowrotem po małym odcinku serpentyny, gdzieś hen! o kilkadziesiąt pięter nad naszemi głowami. Powietrze jest niezwykle przejrzyste, co podobno zwiastuje burzę. I rzeczywiście, po niedługim czasie, oglądamy, już ze szczytu Kubalonki, ciemne chmurzyska, poprzecinane zygzakami błyskawic. Nas na szczęście deszcz omija.

Niedługo potem, jest już za nami słoneczna Kubalonka i malownicza gospoda „Pod Beczką" i zameczek P. Prezydenta. Jedziemy teraz doliną Czarnej Wisełki, nad szumiącym strumieniem do schroniska „Pod Baranią". Słońce oświetla teraz tylko wierzchołki gór, tu w dole panuje mrok. Wkrótce musimy zsiąść z rowerów i prowadzić je pod stromą polanę, na której stoi schronisko. Po kilkunastu minutach wyciągamy się w arcywygodnych łóżkach i zasypiamy snem kamiennym.

Budzi nas mglisty świt, a purpurowe promienie witamy na szczycie Baraniej Góry. Co za widok! Długiemi łańcuchami ciągną się granatowe, lesiste grzbiety, by zatrzymać się na nagim murze Tatr. — Niedaleko rozsiadła się przysadzista kopa Babiej Góry. W dolinach rozlewają się mleczne mgły, wpełzając ku szczytom, zapłonionym słońcem.

Z żalem żegnamy wspaniałą panoramę i zaczynamy zjeżdżać w stronę doliny Białej Wisełki. Rozgrzewają się spracowane hamulce. W poszukiwaniu cienia przeprawiamy się przez Wisełkę i wjeżdżamy w wysokopienny las. Wąska ścieżyna pochłania całą naszą uwagę... mijamy słoneczne plamy polan, wilgotne gąszcza i śliskie źródełka. Zdaleka słychać głuchy szum, — to wodospad Białej Wisełki i... powrót na bity szlak.

* * *

Po kilku godzinach jedziemy już przez Wisłę, szeroką autostradą. Żegnajcie cudne chwile, pełne słońca! Żegnajcie zielone bezdroża! zachwycające widoki... Wracamy do dusznego miasta.

Inż. Wojciech Dzieduszycki.

W kole: Polne „kwiaty". — Poniżej: Serpentyna kładzie się białą wstęgą...



Poniżej: Przeprawa przez Białą Wisełkę.



Na lewo: U źródła na szczycie Kubalonki. — Na prawo: Nadciągające na Kubalonkę chmury zwiastowały burzę...





Wszystkie zdjęcia: INŻ. WOJCIECH DZIEDUSZYCKI — ZEBRZYDOWICE.



DZIEWCZĘ Z MIASTA

Beztroskiej czas wolności nastał,
skrzydlate dni swobodne —
przybyła więc dziewczyna z miasta
w zielonej prerji oddech.

Z wąwozów asfaltowych ulic,
z pieśni żelbetonowej
przybyła w urok pól się wtulić
i w kwiaty stroić głowę.

I właśnie tu dziewczynę małą
na apel los przywołał:
Jej serce w areszt się dostało,
skradzione przez cowboya.

z.



W ŚWIĄTYNIACH „CZCICIELI SZATANA"

Na lewo: W górach Kurdystanu wznoszą się tajemnicze kamienne budowle w kształcie stożków...

Tajemnicze sekty czcicieli szatana znane już były w starożytności. Krążyły koło nich fantastyczne legendy, przypominające makabryczne koncepcje z opowiści Edgara Allana Poe'go. Sataniści uważani byli za jakichś ponurych opętańców, napoły magików, napoły szaleńców. Nikt ich bliżej nie znał — głęboka tajemnica chroniła ich siedziby, ich sanktuarja i ich grozę budzące praktyki kultowe.

Ale czyż mogą oni istnieć dziś jeszcze? W dwudziestym wieku? W epoce rozkwitu cywilizacji i technicznego postępu, docierającego pomału do najdzikszych, egzotycznych krajów?

A jednak istnieją. Gnieżdżą się w niedostępnych górach Kurdystanu, odgrodzeni zdawałoby się od cywilizowanego świata samą już przyrodą, chroniącą ich kryjówki dzikiemi, zda się nieprzebytemi, bezdrożami. Ale żądza wiedzy białego człowieka i rozwikłania najbardziej niepokojących zagadek potrafiła przezwyciężyć wszystkie przeszkody i dotrzeć tam, gdzie tylu śmiałków i poszukiwaczy przygód znalazło okrutną śmierć. Wyprawa naukowa pod kierownictwem znanego podróżnika barona Ludwika von Kummer zdołała odszukać ich niedostępne siedziby i podpatrzeć ich sanktuarja.

Posuwając się wgłąb gór Kurdystanu, zauważyli członkowie ekspedycji barona v. Kummer dziwne jakieś budowle. Były to niewielkie stożkowate kamienne konstrukcje o kanciastem żebrowaniu, wsparte na masywnym cokole z prostokątnemi otworami. Otwory te zasłaniały głęboko wpuszczone płyty kamienne, pokryte tajemniczemi znakami, przypominającemi jakieś nieznane pismo. Tych dziwnych pomników, czy świątyń było coraz więcej, im dalej zapuszczała się w dzikie górskie ostępy odważna ekipa podróżników. W jednej z wsi u podnóża gór dowiedzieli się od krajowców, że są to budowle kultowe czcicieli szatana, zamieszkujących te góry.

Napróżno ostrzegano śmiałków przed grożącem niebezpieczeństwami. Napróżno tłumaczono im, że czekają ich przeprawy przez niedostępne bezdroża. Członkowie wyprawy postanowili za wszelką cenę dotrzeć do osiedli satanistów. Trzeba było tylko wyszukać przewodnika.

Nie było to łatwem zadaniem. Żaden z krajowców nie chciał podjąć się tak Żaden z krajowców nie chciał podjąć się tak ryzykownego przedsięwzięcia. Trzeba było długich perswazyj, a przedewszystkiem poważnej sumy pieniężnej, aby znaleźć odpowiedniego człowieka.

Wyruszono o świcie. Karawana mogła posuwać się tylko bardzo powoli. Chwilami trzeba było wyrąbywać drogę w gąszczu ljan i krzewów W dzikim krajobrazie przybywało coraz więcej stożkowatych świątyniek. „To są ich miejsca kultowe" — objaśnił przewodnik. „Żebrowania symbolizują płomienie".

Po trudach mozolnej wędrówki kspedycja barona v. Kummer dotarła do pierwszych osiedli czcicieli szatana. W gąszczu leśnym ukazała się oczom Europejczyków ogromna świątynia o ściśle geometrycnych kształtach, zbudowana z olbrzymich, nieforemnie ciosanych bloków kamiennych. Tylko bogato



Na lewo: Samochody ekspedycji br. Kummera musiały pokonać niebylejakie trudności terenowe.



Ogólny widok osady »czcicieli szatana«.

Poniżej: Na świątyniach »czcicieli szatana« widniały charakterystyczne rogi...





Obok: Trzeba było ad hoc budować prymitywną drogę dla samochodów...

rzeźbiony portal wyróżniał się ozdobnem i misternem wykonaniem od surowej prymitywności całej budowli. U progu sanktuarjum stał kapłan w czarnych, purpurą bramowanych szatach, wzniesioną ręką zabraniając wstępu. Przy pomocy przewodnika starano się z nim porozumieć i uzyskać pozwolenie na bliższe obejrzenie świątyni, przeciągając umyślnie pertraktacje, aby odwrócić uwagę ponurego strażnika. Skorzystał z tego odważny fotograf, który zdołał się wślizgnąć do wnętrza, aby dokonać zdjęcia. W ciemnościach, zalegających rozległą salę świątyni dojrzał rodzaj sarkofagu, pokrytego zwojami purpurowej materji Z powodu fatalnego oświetlenia trzeba było przez cały kwadrans naświetlać film. W pewnym momencie, zaniepokojony nieobecnością obcych przybyszów, kapłan wszedł do wnętrza świątyni

cieli szatana. W życiu codziennem są oni pracowitymi rolnikami. Mieszkają w nędznych chatach, lepionych z gliny. Na ścianach widnieją dziwne znaki — podobne do pary zakrzywionych rogów. Według słów przewodnika, są to rogi szatana, jeden ze znaków, po. których rozpoznaje się jego czcicieli.



Na prawo w kole: Członkowie ekspedycji z swym kierownikiem br. Kummerem na czele (drugi od lewej).

Poniżej od lewej: Sztuczne pazury na ręce »czciciela szatana«. — Grupa mieszkańców osady podczas sianokosów. — Kapłan wzbrania dostępu do świątyni obcym przybyszom. — »Czciciele szatana« wchodzą do świątyń, przybrani w fantastyczne szaty.











Na lewo: Tajemniczy sarkofag w sali jednej ze świątyń.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: LUDWIK br. KUMMER

Poniżej: Przywódca sekty »czcicieli szatana« na tle ozdobnego portalu świątyni.



z pochodnią w ręku. Członkowie wyprawy zadrżeli o los fotografa. Lecz szczęśliwie kapłan nie dojrzał go wraz z kamerą. Tylko migotliwy płomień jego pochodni odznaczył się na dokonywanem zdjęciu.

Oprócz kapłana nikt się nie ukazał. Podróżnicy chcieli posunąć się jeszcze dalej, lecz przewodnik, zielony ze strachu, nawoływał do powrotu. Ekspedycja musiała więc zawrócić i zatrzymała się na odpoczynek w jednej z sąsiednich wsi. Jak się okazało, było to osiedle czci-

Podróżnicy starali się poznać bliżej charakter osiedla i zwyczaje jego mieszkańców. Na palcach noszą oni dziwne przyrządy, przypominające pazury. Twierdzą, że służą im one do zbierania kłosów, natomiast według świadectwa przewodnika, są to również jakieś tajemnicze symbole kultu szatana, wyobrażające jego szpony.

W trakcie „rozmowy", prowadzonej oczywiście na migi, fotograf niepostrzeżenie operował nieodłączną kamerą, uwieczniając na filmie dzikie i malownicze postacie mieszkańców wsi, oraz ich stroje, składające się z szerokich szarawarów, długich, obszernych bluz i kolorowych kaftanów. Głowy, o czarnych, bujnych i kędzierzawych włosach, pokrywają białe lub kolorowe turbany. — Tylko kapłani noszą te makabrycznie czarne szaty, obrzeżone płomienno-czerwonym szlakiem.

Członkowie wyprawy z żalem, ale i z ulgą opuścili okolice, zamieszkane przez satanistów, unosząc jako łup bogatą serję zdjęć, będących chyba jedynem namacalnem i bezspornem świadectwem istnienia tej dziwnej i tajemniczej, ponurą legendą otoczonej sekty.

Rezultaty wyprawy stały się prawdziwą sensacją w świecie naukowym. Ile podróżników przypłaciło życiem swą ciekawość i śmiałość! Nikomu dotychczas nie udało się dotrzeć do osiedli i świątyń czcicieli szatana, zazdrośnie chroniących tajemnic swego ponurego kultu. Dziś już — dzięki zdjęciom i zapiskom barona v. Kummer, nauka może stwierdzić z wszelką pewnością ich realne istnienie, które tak często było podawane w wątpliwość.

NELLA BARSZAKOWA

ANONIM

OBRAZEK

Na biurku mecenasa Tadeusza Wilczkowskiego leżał mały, biały arkusik papieru i śmiał się szyderczo rzędem nierówno pisanych liter. Wilczkowski poraz dziesiąty łączył litery w całości i czyta:

Szanowny Panie!

„Powinien pan baczniejszą uwagę zwracać na swoją małżonkę. Podczas długich godzin, gdy niema pana w domu — żona pańska, tak pańska żona, — ta poczciwa i ta „prosta“ — jak pan mawia — „istota przepędza mile czas w towarzystwie“...

Litery skakały dalszemi złośliwie śmiejącemi się znakami, tworząc słowa coraz bardziej kłujące i bolące.

Anonim! — syknął mecenas Wilczkowski. — Podły anonim! Że też ludzie...

Po chwili jednak coś odezwało się w nim:

A może jednak list jest prawdziwy, może istotnie ktoś życzliwy, który chciał oszczędzić mu bólu i ośmieszania, pragnął pomóc mu?...

Nonsens! — syknął znowu mecenas Wilczkowski. — Nonsens! po trzykroć nonsens!...

Wstał i zaczął nerwowemi krokami przechadzać się po pokoju.

A głos z zewnątrz mówił dalej:

„Nie można nigdy być pewnym!“

Owszem, żona jego uchodziła powszechnie za idealny typ towarzyszki życiowej. Była cicha, spokojna, nie uznawała wyzywających strojów, najchętniej przepędzała czas w domu, nie uznawała żadnego towarzystwa poza mężem... Tak! Niejednokrotnie słyszał te zdania wokół siebie! A jednak to wszystko mogło być maską, pod którą kryło się...

Spojrzał raz jeszcze na list:

„Jeśli chce pan przekonać się“ — głosiła dalej treść anonimu — *„proszę nieoczekiwanie zjawić się w domu między godziną 5—6 popołudniu, a wówczas zastanie pan swą żonę...“.*

— Ohydne! — krzyknął mecenas Wilczkowski. Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina 5-ta. Szybko porwał palto i kapelusz i wyszedł z pokoju, oświadczając sucho zdziwionemu sekretarzowi:

— Gdyby się ktoś do mnie zgłosił, nie będę mógł go niestety dzisiaj przyjąć. Proszę odłożyć konferencję do jutra...

* * *

Dochodziła godzina 10-ta wieczór, a mecenas Wilczkowski ciągle jeszcze przebywał w swej kancelarji i zamyślony siedział nad biurkiem.

— Właściwie nie rozumiem, dlaczego się niepokoję — rzekł po chwili sam do siebie, zrywając się z miejsca. — W domu nikogo nie zastałem. Żona była w mieszkaniu samotna i najspokojniej lakierowała sobie paznokcie. Ani śladu zdenerwowania, czy też niepokoju! A musiałaby przecież zdradzić jakieś zmieszanie, gdyby kogoś oczekiwała, a on niespodziewanie zjawił się. Zdziwiła się tylko i zarzucając mu ramiona na szyję, zapytała z uśmiechem:

— Cóż się stało, że mężulek wrócił tak wcześnie do domu?

Nie wiedział początkowo co odpowiedzieć!

Wreszcie rzekł sucho:

— Zapomniałem w teczce ważne dokumenty, a są mi one potrzebne do konferencji...

Wbiegł szybko do następnych pokoji, dokładnie je przeglądnął, patrzył do każdego kąta, nawet szafy nie zapomniał otworzyć.

— Znalazłeś już? — doszedł go głos żony. — A może pomóc ci w szukaniu?

— Nie..., dziękuję..., już mam, już wychodzę. A wrócę późno..., nie czekaj na mnie, dobranoc!

* * *

Anonim nie pozostał jednak bez śladu.

Każdą wolną chwilę poświęcał mecenas Wilczkowski rozmyślaniom... I coraz częściej zjawiał się niespodzianie w domu. Nigdy jednak nikogo nie zastał. Mimo to nie mógł znaleźć spokoju i myśl raz po raz wracała do treści wstrętnego listu.

Dawniej nieraz zdarzało się, że wieczór po wieczorze spędzał poza domem! Znano go dobrze we wszystkich lokalach dancingowych i koleżeńskich „knajpkach“, w których zawsze zjawiał się sam, będąc świetnym kompanem do zabawy.

— A cóż mówi twoja żona? — pytano go nieraz.

— Żona... żona jest do ozdoby domu, do przyrządzania smacznych obiadów itd. — odpowiadał. — Ożeniłem się tylko dlatego, ponieważ znalazłem w żonie mojej taki typ. Mogę być spokojny. Nigdy mi w mej zabawie nie przeszkodzi.

Tak mawiał stale.

A dziś nie odważyłby się nocy spędzić poza domem. Niepokój raz rozbudzony, wzrastał ciągle i odzywał się ustawicznie:

„A może teraz właśnie ona w towarzystwie tego innego?...“.

I coraz częściej widywano mecenasa Wilczkowskiego w towarzystwie żony. Nie chciał ani na chwilę pozostawiać jej samej. Musiał ją stale mieć przy sobie! I nie znosił już, gdy ktoś mówił, albo zbliżał się do niej.

* * *

Pewnego przedpołudnia, gdy po raz pierwszy od wielu lat zamawiał bilety celem wspólnego wyjazdu z żoną do Krynicy — ona siedziała właśnie u swej przyjaciółki, pięknej Loli i całując ją gorąco, mówiła:

— Doprawdy, Lolu, nie przypuszczałam, że anonim może być tak zbawienny. Dotychczas brzydziłam się takiemi listami i nie sądziłam, bym mogła go kiedyś napisać. A jednak dziś, dzięki anonimowi, jestem szczęśliwa... Nie masz pojęcia, jak cierpiałam, jak bolała mnie obojętność męża, który wolał każde towarzystwo obce od mojego. Wystarczył mały liścik, napisany przez ciebie, a życie moje zmieniło się zupełnie. Dziś jestem dla męża wszystkiem. Nie zostawia mnie ani na chwilę samej. Jest czułym i miłym!...

— Ale na jak długo? — rzuciła pani Lola, żegnając swą przyjaciółkę.

Dokończenie z str. 12-tej

linję. Patrzy i widzi, jak Paula przyciska do leżących nieruchomo rąk wargi, potem podnosi się, pochyla i biorąc tę ukochaną postać w ramiona przytula usta do tamtych warg, długo, rozpaczliwie, gorąco...

Wtedy Krzysztof wychodzi cicho. Ostrożnie zamyka za sobą drzwi i mówi do czuwającej siostry:

— Proszę, niech siostra nie wchodzi, aż ta pani wyjdzie!

Siostra patrzy za nim długo, zaniepokojonym wzrokiem. Śledzi oczami, jak nierównym krokiem, jak pijany, idzie korytarzem, kołysząc garbem.

Dopiero po chwili wychodzi Paula. Ma pochyloną nisko głowę. Idzie wprost do gabinetu męża. Krzysztof wstaje od biurka i podchodzi do niej blisko, tak blisko, że Paula czuje na twarzy jego przyśpieszony oddech. Przez chwilę patrzą sobie głęboko w oczy. Wreszcie Krzysztof podnosi jej twarz ku sobie swą ciepłą, wilgotną ręką i mówi spokojnie, z wysiłkiem:

— Wracaj, Paula! Chciałbym, chciałbym, żebyś była szczęśliwa i nie przeklinała mnie, żebyś... Bądź zdrowa!

Twarz ma ściągniętą zupełnie. Ciemne oczy zaczynają nagle błyszczeć podejrzanie. Ale zaraz odwraca się od niej, pochyla ku drzwiom i mówi szorstko i niecierpliwie:

— No idźże już, idź! Przecież mówię ci idź, Paula! Wracaj. Zostaniesz przy nim! Wracaj Paula!

Stanął przy oknie plecami do niej. A Paula stoi tak na środku, nie mając siły odejść, zostawić go tak, samego. Gorąca fala wdzięczności i tkliwości zalewa ją przemożnie. Chciałaby podejść, powiedzieć mu, co czuje, jak bardzo, bardzo ko kocha, jak brata, jak najmilszego przyjaciela!... Ale plecy jego wzdęte garbem, odtrącają ją uparcie. Więc wkońcu wolno, a potem coraz prędzej, idzie ku drzwiom, starając się nie patrzeć w stronę okna. Na tle szyb, tak wyraźnie rysują się garbate, wąskie plecy i drgają konwulsyjnie szarpiącym, strasznym płaczem.

Cicho zamyka drzwi za sobą i wychodzi na palcach, jakby wychodziła z pokoju, w którym leży umarły.

KONIEC.

UŚMIECH, KTÓRY POW[illegible]CA..



Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

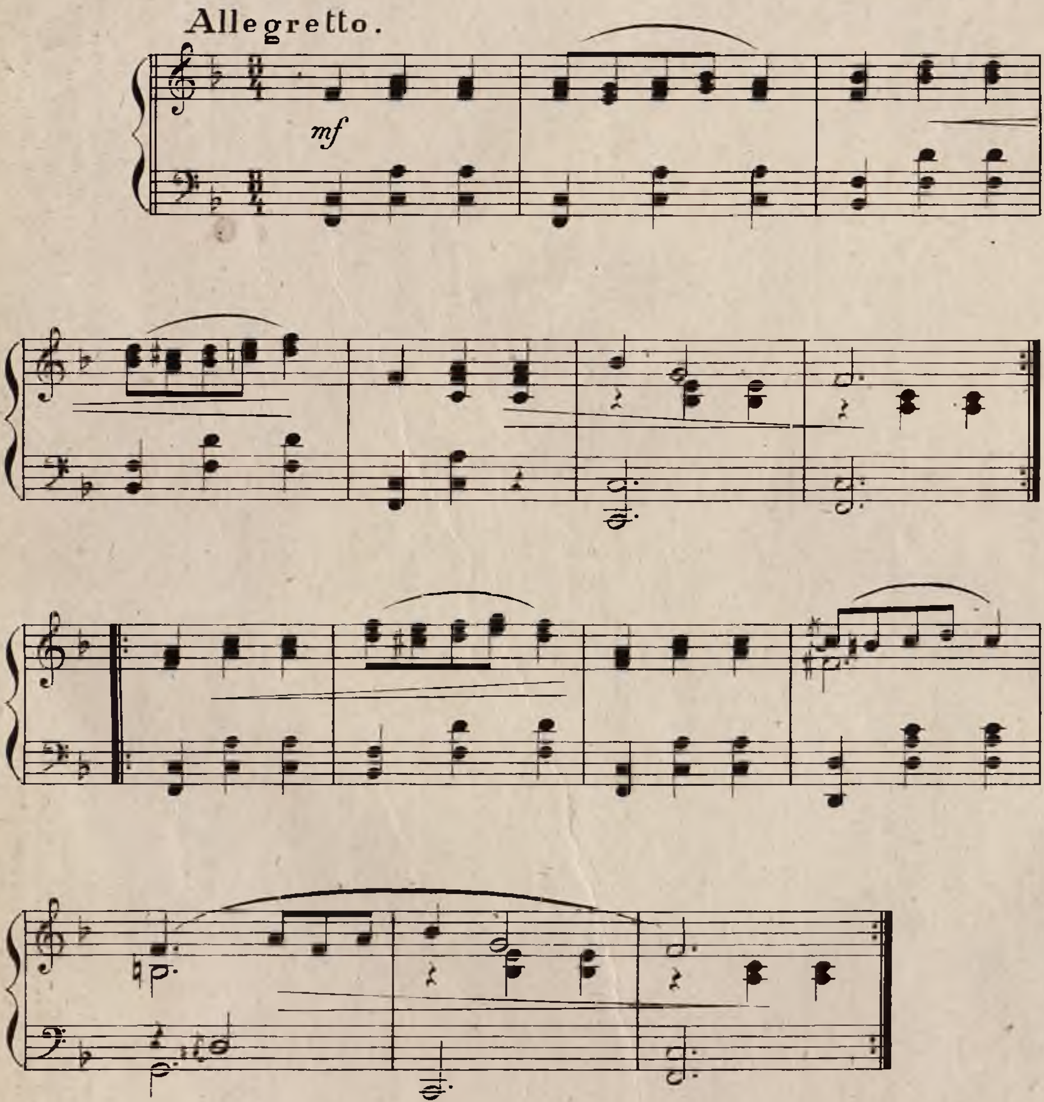
KAZIMIERZ MEYERHOLD (1928)

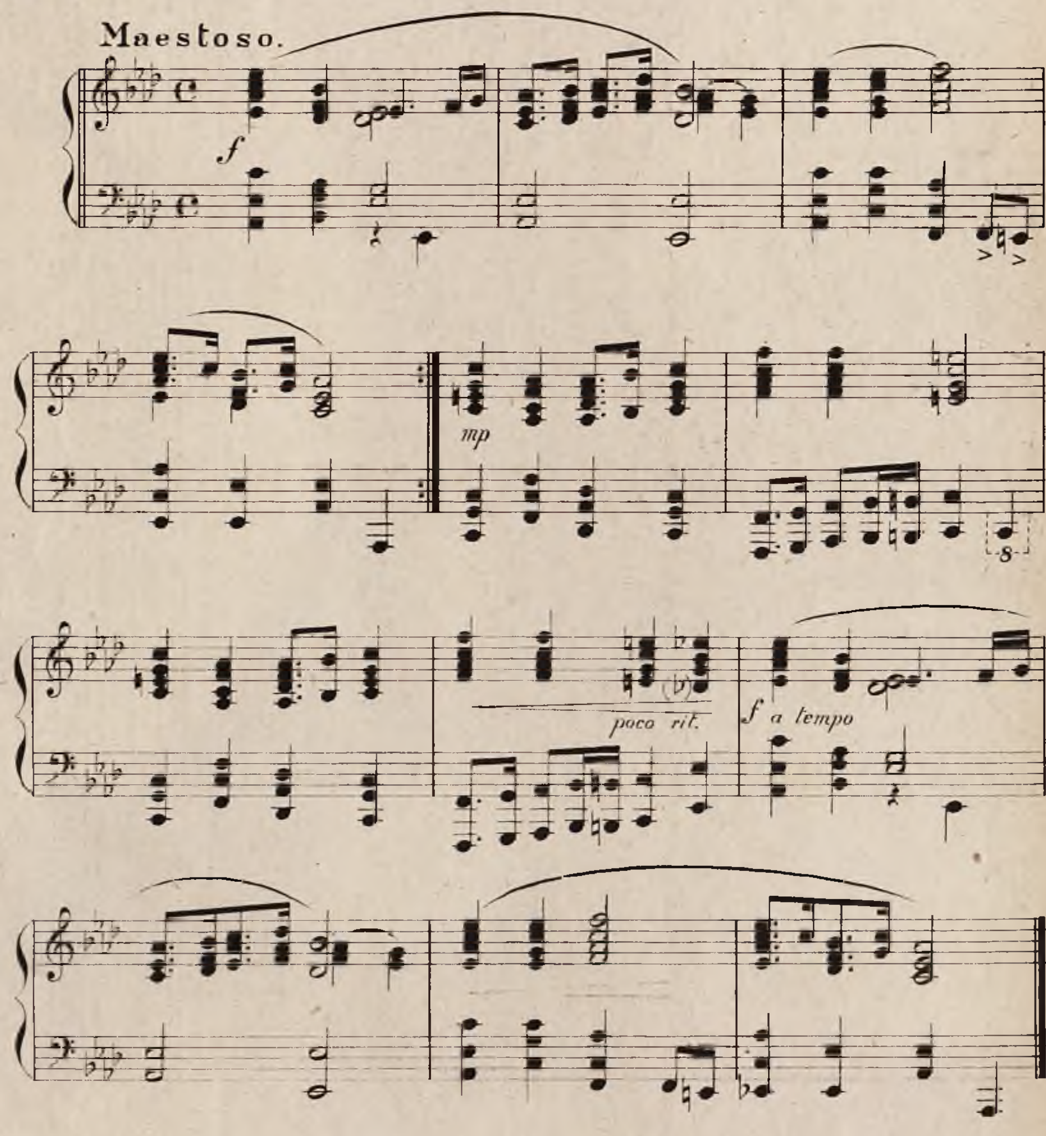
TANIEC POLSKI

Z MUZYKI DO „RÓŻY" — ŻEROMSKIEGO

MARSZ UROCZYSTY

Z MUZYKI DO „ACHILLEIS" — WYSPIAŃSKIEGO





ARTUR GROTTGER



WSPOMNIENIE F. M. AREN

PRZEŁOŻYŁ WITOLD RYBCZYŃSKI

Bo w świecie ducha –
niema pożegnania.

6-ty ODCINEK.

Proszę nie dziwić się, łaskawa Pani, że tak przedwcześnie nadaję ostatnim słowom niejaką pewność, lecz Pani sama musiałaś doświadczać w życiu tego stanu, w którym przeczuwa się uczucia, dopiero w przyszłości wzbudzić się mające. Tak jest, Czcigodna Pani, wierzyłem święcie, że stanę się kiedyś prawdziwym przyjacielem Jej córki. Bowiem nie fizyczne zalety, lecz Jej miła duchowa istota, niewinny i nieskażony jeszcze pogląd na nasze — niestety pożałowania godne — stosunki towarzyskie, Jej gorące, pełne duszy ujęcie wszystkiego, co piękne i szlachetne w życiu — to było, co mię tak pociągało, za czem wszyscy nieprzerwanie tęsknimy, a co tak rzadko znaleźć nam przychodzi. Gdybyś Pani wiedziała, jak często szukałem rozrywki, spędzając wieczory w gronie wyperfumowanych lalek.

Wiek mój nie upoważnia mię do badania prawdziwej przyczyny zakazu Pani; przyjmuję go ze spokojem. Nie żywię jednak uroczej nadziei, bym w przyszłości znalazł Pannę Karolinę taką, jaką jest obecnie. Jak wszystkie młode dziewczęta, i ona jest narażona na mętne i szorstkie wpływy życia, wpływy, które nawet duchem mężczyzny wstrząsnąć zdołają.

Przyjmij Łaskawa Pani, wyrazy mojej najtkliwszej podzięki za przyjazne i pełne względów przyjęcie w Jej Domu i moje najszczersze zobowiązania za delikatność w wyrażeniu listownie tego, co by inna matka, być może przez nieświadomość, osobiście mi odczuć kazała.

Kreślę się

z najgłębszym poważaniem

uniżony

Arthur Grottger

Wiedeń, 10/4 1862 (?)

VII.

„Błyszczy maj.
Wolny gaj
Od śniegu i sopli lodowatych".

Z gór spływał ciepły powiew, niebo było tak błękitne, tak zielony wokół świat. Już długo byliśmy na wsi i zdawało się, że mama pragnie wynagrodzić mi utratę malarza artystycznym urządzeniem mego pokoju. Na ciemnoniebieskiem tle wznosiły się ozdobne arkady, a pod każdą z nich dosyć duże, powleczone brązem, popiersia moich najulubieńszych poetów. Szyby dwóch łukowych okien i oszklonych drzwi, prowadzących od tej świątyni do jadalnego pokoju na terasie, pokrywały malowidła: na każdej szybie obraz w błękitnem obramowaniu. Wyglądało to trochę na kaplicę, zwłaszcza przy zamkniętych drzwiach; lecz kiedy otworzyłam okno, przy którem stało moje biurko z widokiem na las, mogłam mieć wrażenie, że znajduję się w wykuszu jakiegoś zamczyska, jakkolwiek modne meble i śliczne pianino świadczyły raczej o współczesności.

Na przeciwległym końcu mieszkania znajdował się salon, również w stylu gotyckim, z ogromnemi ciężkiemi meblami, z któremi nie harmonizowały ciemno-czerwone ściany, ustępstwo dla mego zamiłowania do malarskiego wnętrza. Rozkoszując się własnym pokojem, bardzo rzadko przebywałam w salonie, a podczas wizyt, które mi nie odpowiadały, wymykałam się do lasu z Szekspirem w ręce.

Był to więc tylko przypadek, że znalazłam się w tym czerwonym narożnym fotelu, gdzie, pogrążona w myślach, przeglądałam obszernw szkicownik.

— Grottger jedzie! — zawołał nagle właściciel szkicownika.

Jednym skokiem znalazłam się przy oknie. Lecz — gdy ujrzałam młodego Polaka, jadącego obok pięknej damy w grupie cywilnych i wojskowych panów — równie prędko skryłam się za kotarę, lecz tak, by widzieć, nie będąc widzianą.

Dlaczego się cofnęłam? Dlaczego nie przystąpiłam swobodnie do szyby lub do otwartego okna? Dlaczego, skoro go ujrzałam, nie chciałam przyjąć jego pozdrowienia, jeżeli — być może — wiedział, że mieszkam w tym domu? Dlaczego?

Otóż po otrzymaniu listu od niego w nagłym porywie chwyciłam za pióro i wypisałam wszystko, co mię od owego piątku gnębiło. Musiałam przecież odesłać mu książki, które mi pożyczył, musiałam mu dać znak życia o sobie; a ponieważ potajemną korespondencję z młodym malarzem uważałam za coś bardzo idealnego, wysłałam przesyłkę, podając adres babki.

W napięciu oczekiwałam na odpowiedź, nawet wówczas jeszcze, gdyśmy już wyjechali na wieś, ale naprożno. Moja niecierpliwość, moje oczekiwanie, moje dopytywania się o list okazały się daremne. Czułam się głęboko zawstydzona i zraniona w swej dumie, to też nie chciałam mu się pokazać, nie chciałam go widzieć, w chwili, gdy u boku tej pięknej dziewczyny z pewnością o mnie zapomniał. Nie wiedziałam, że to była jego siostra, ani nie wiedział o tem, dopiero co z Wenecji przybyły malarz, który znał Grottgera z akademji, ale nie znał jego rodziny. Ów malarz należał do familji, z którą żyłam na bardzo poufałej stopie, to też z nim, jak i z jego rodzeństwem byłam na ty.

— Jak zbladłaś — rzekł, odwracając się od okna — znasz Grottgera? Ach, prawda! to twój rodak. Genjalny, ale lekkomyślny gałgan.

Jak ordynarnie się wyraził. Czyż Grottgerowi przeszedłby taki wyraz przez usta? Jakże odrębne były obie indywidualności. Przeznaczeniem Artura Grottgera, subtelnego, o głębokim umyśle i pełni duchowej, było osiągnąć szczyty, do jakich wznieść się może kredka, ucieleśniająca z całą prawdą fizycznej doskonałości duchowe stany i najwyższe wzloty naszej idealnej natury. Tamten atoli pozostał przy realizmie, przy „rzeczy samej w sobie" (?). Grottger badał duszę, tamten anatomję, Grottger odrzucał dryl szkolny, tamten wzorował się na Tizianie i szkole weneckiej. Pierwszy chwytał za węgiel lub ołówek i odtwarzał, życie, ideały, ból, czy zachwycenie, drugi brał pendzel i farby, i wyczarowywał efektowny koloryt i kształty. Pierwszy jest głęboki.

drugi powierzchowny, pierwszym włada serce, drugim paleta; pierwszy tworzy, drugi maluje.

— Proszę cię, pozostań tak przez chwilę — rzekł do mnie artysta w salonie, podczas gdy ja myślałam o artyście na koniu — chciałbym cię naszkicować. Szkoda, żeś ruszyła głową; przynajmniej trzymaj tak ręce — są prześliczne — narysuję je dla mojej Madonny. Wiesz, po twym powrocie z Londynu muszę cię portretować.

W trakcie tej przemowy powstał szkic, szybko na papier rzucony. Lecz nie na tym jednym zakończyć się miało. Wnet znalazła się kasetka z farbami, i wybiegliśmy na łono przyrody.

W moich oczach powstawały romantyczne skały, szemrzące strumyki, stare drzewa, oświetlone zarośla, półcienie ze słonecznemi plamami... a jego teka napełniła się wspaniałemi barwnemi studjami.

Tak minęła zima i znów zawitał maj. Pamięć o smętnym Polaku nie zatarła się, zbladła raczej wobec pełnej życia postaci, która mię nie odstępowała. Interesująca zjawa polskiego malarza o bladem delikatnem obliczu ustąpiła przed młodzieńczą świeżością i błyszczącemi niebieskiemi oczyma jego następcy. Kredka usunęła się przed farbą. A kiedy rozżarzone słońce stanęło wysoko na błękitnem niebie, mój portret wystąpił na płótnie; a gdy już jesień spłynęła na pola, zdawało się, że Eugenjusz Blaas zwyciężył Artura Grottgera.

— — — — — — — — —

Napisałam rozmyślnie: zdawało się, gdyż, jakkolwiek Eugenjusz Blaas był błyskotliwy, jako malarz i mężczyzna, natchnienie i genjalność były udziałem Grottgera. Z nim kto się zetknął, zapomnieć nie zdoła. Silniejsza żywotność zwyciężyć może, lecz nie zastąpi duchowej głębi. Zewnętrzny wygląd obu artystów dziwnie odpowiadał charakterami ich twórczości. Weźmy pod uwagę najsłynniejsze obrazy Eugenjusza Blaasa: „Dekameron", „Dogaressę", „Visitę", wspaniałą „Scenę na balkonie" i „Lupo in Favola". Wszystkie skończone w rysunku, w kształcie i układzie, świetne w kolorycie, technicznie doskonałe aż do najdrobniejszych szczegółów. Właśnie owe mistrzowskie zalety wyrobiły jego obrazom rozgłos, jak najbardziej zasłużony, jeśli idzie o zrozumiałość i wierne odtworzenie prawdy życiowej. Podobnie postać zewnętrzna artysty: silna, świeża, kwitnąca i drobiazgowo staranna.

Gdzież Grottger o tym myśli. Wdziewa swój polski strój — i to wszystko. Żywe oczy, uduchowniona twarz, wiotka postać, zgrabne ruchy robią swoje... wywierają wrażenie. Tu genjalność, tam uroda. Dusza, treść i myśl występują ku nam z każdej kreski grottgerowskiego ołówka. Koloryt „barwny" nie był nigdy jego silną stroną, lecz w każdej postaci, przez niego stworzonej, występuje koloryt indywidualności; nie oglądamy błękitu ani czerwieni, jedwabiu ni ciężkich atlasów, natomiast odczuwamy dokładnie, co ten lub ów człowiek czuje, o czym myśli, co zamierza, nad czem boleje, co go raduje, wzrusza i wznosi ku górze; — żyje życiem, którem my żyjemy, a budząca się trwoga, rosnąca rozpacz, miłość kobiety lub czyn mężczyzny — one są tutaj: mówią, skarżą się, śmieją się i płaczą, porywają nas. Gdyż to są poematy, plastyczne poematy, ręką artysty tworzone; stąd dłuższe cykle obrazów, wewnętrznie ze sobą spojonych: nie rysunki, lecz epopeja — nie obrazy, lecz dramat.

Oto wielka różnica pomiędzy Arturem Grottgerem a nietylko Eugenjuszem Blaasem, lecz wszystkimi innymi malarzami, do których właściwie Grottgera zaliczyć niepodobna, gdyż Grottger — to rysownik-poeta. Charakter każdego jego dzieła jest wewnętrzny, podczas gdy środki malarskie są zewnętrzne.

Współczesna sztuka, obok realistycznego pociągu ku rzeczywistości, skłania się również ku idealizmowi. Ci, którzy ograniczają się do ciała, materji i kształtu, nic ponadto nie dadzą nam nowego; a przecież niektórzy rozumieją, że piękny kształt także piękną duszę okrywać powinien, że nad bezwładną materją panuje myśl, a duch ożywia ciało, i że barwa nietylko zmysłom i wyobraźni, ale także duszy służyć może i powinna.

A chociaż i na mnie koloryt wywiera wrażenie, nie mogłam zapomnieć o dziełach ołówka. Nie — nigdy — a już najmniej podczas podróży do Londynu, gdzie w olbrzymim bajecznym budynku Wystawy Światowej w Hyde-Parku ujrzałam drugi cykl „Warszawy". Gdzie się obecnie podziewa, niewiadomo [1]), lecz nie był już tak potężny, jak pierwszy i powstał — jak mi to sam artysta opowiadał, spontanicznie, jako rozszerzone oraz wzbogacone obrazami i postaciami odtworzenie tej samej myśli. Liczniejsze zgromadzenia w kościołach i na cmentarzach, gdzie przy grobach poległych śpiewają demonstracyjne pieśni, widać też więcej rosyjskich bagnetów (?). Całość utrzymana bardziej aktywnie ze strony obu wrogich sobie obozów, podczas gdy na kartonach pierwszego cyklu przeważał nastrój bolesny i elegijny. Również „Wdowa" zmieniła charakter: stała się piękną, dumną blondyną. To już nie pospolite uosobienie bolejącego wdowieństwa i opuszczenia, raczej zjawisko arystokratyczne i bohaterskie zarazem, gdyż w jej łzach kryje się zemsta, a w smutku energja. Jest to urodziwa kobieta w pełnym rozkwicie, kobieta, która poznała miłość, a której wydarto małżonka i kochanka zarazem. Jej duże oczy wyrażają boleść, ale jej mściwie zaciśnięte wargi zaprzysięgły okrutnemu wrogowi zagładę.

Stałam tak przed nią i wyczułam wszystko. Przedewszystkiem powiedziałam sobie, że moje siedemnaście lat nie może mierzyć się z tą dojrzałą kobietą. Wprawdzie wówczas nie wszystko było mi jasne, co ten obraz w sobie zawierał, lecz tyle zrozumiałam, że kto taką kobietę odtworzyć potrafił, kto tak ją odczuł i przedstawił, ten nie mógł żywiej się zająć zaledwie rozkwitającą dziewczyną. Myśl ta nie sprawiała mi goryczy — zbyt mało miłości tkwiło w mem uczuciu, ale pojęłam, dlaczego mi nie odpisał. Usprawiedliwiłam go w zupełności, jakkolwiek w swoim czasie bolałam nad tem bardzo głęboko.

A jednak rozumowanie młodego, niedoświadczonego serca przecież było fałszywe, albowiem napisał do mnie. Dziś list ten jest w mych rękach, ale dopiero po dwóch latach miałam go otrzymać.

Jest datowany 4 czerwca 1862 r.; a oto treść jego:

> Piszesz mi, Droga Pani, że już przed dziesięcioma dniami posłała swoją adresę. Niestety wcale jej nie otrzymałem i dopiero przedwczoraj uszczęśliwił mię Twój kochany liścik, na który dziś odpisuję. Możliwe, że także piszę nadaremno, bo, jeśli Pani już we czwartek jedzie do Londynu, będziesz z pewnością bardzo zajęta i zapomnisz zapytać się Babci, czy list tam nie nadszedł.
>
> Moja droga Panienko! Tak wiele leży mi na sercu, że nie wiem, czy to wyrazić potrafię. Tak wiele żalu, tak wiele szczęścia, tak wiele bolu tłoczy się w tej chwili, iż obawiam się, by nie zamąciło uczucia prawdziwej przyjaźni, którą dla Niej czuję. Być może, zdziwi to Panią, że mam odwagę tak mówić! Lecz czyż mógłbym spojrzeć w Jej oczy, gdyby to uczucie niekłamanej przyjaźni nie było idealnie czyste i gdyby ono połączone było z innem, może równie pięknem? Nie! Ofiarowałem je Tobie czyste jak diament, jasne jak kryształ! Przyjm je łaskawie, droga Dziewczyno, i zachowaj je w pamięci, gdyż wytrysło z mojego serca, które — jak daleko sięgnę myślą, starałem się ustrzec od złych i szpetnych wpływów naszego życia.
>
> Podczas ostatniego naszego spotkania zauważyłem niepokój Pani, że przecież nie wszystko jeszcze zapomniałem, nie wszystko przezwyciężyłem, co mię niegdyś niemile dotknęło. Droga Panno Karolino! Jak pięknie i milluchno musi być w serduszku Twoim! Ozy sądzisz, że nad nim nigdy burza nie nadciągnie? Ach, może już gdzieś w dali gromadzi się wiele boleści i zmartwień, by potem — nagle — to ciche niewinne serce opanować... i złamać!... Czyż nie lepiej zaoszczędzić sobie tych obaw aż do owego czasu? Czyż nie lepiej pozostawić te małostki mnie samemu, jako że przecież ja tylko radzić i pomagać umiem? Tak jest. Już przeżywałem okropne chwile, i to także sam, całkiem sam! bez pomocy, bez nikogo, bez jednej łzy pociechy! A jednak zniosłem to i przezwyciężyłem; a jeśli moje smutne przeznaczenie zażąda, by mię los raz jeszcze na tak bolesną wystawił próbę, raz jeszcze to przeżyję, raz jeszcze — ale już złamany!
>
> Tak, tak, moja droga Przyjaciółko, tak to już jest. Żałobę, smutki i cierpienia odłóżmy na jutro, przyjdą prędzej, niż się spodziewamy. Biedne kobiety! Jak piękne, jak czyste, jak niewinne są Wasze serca, a jednak, a jednak, skoro zły los dotknie jedno z nich, staje się on Waszym, tylko Waszym losem. Jak piłka rzucane tu i tam, dante na strzępy, złamane na wieki!
>
> Dlatego oszczędzajmy nasze siły, by je zahartować na ciężkie godziny.
>
> — — — — — — —
>
> Ostatnią razą powiedziała mi Pani, że wybrałaś dla mnie kilka listów od owych kochanych przyjaciółek, listów równie zachwycających, jak poprzednie. Proszę o nie, bardzo proszę; jeśli możliwe, jeszcze przed odjazdem. Sprawi mi to największą przyjemność!
>
> A teraz życzę jak najszczęśliwszej podróży i proszę pamiętać o mnie od czasu do czasu, a może i napisać, ale tak, bym nie potrzebował odpisywać, gdyż wątpię, czy bym potrafił. Odpowiedź będzie w mej duszy i przy sposobności ją wypowiem.
>
> W Londynie proszę nie zapominać o mojej „Warszawie".

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Odnaleziony dopiero w r. 1925 w South Kensington Museum p. tl.

Łamigłówki mody męskiej

NA WSZYSTKICH FRONTACH

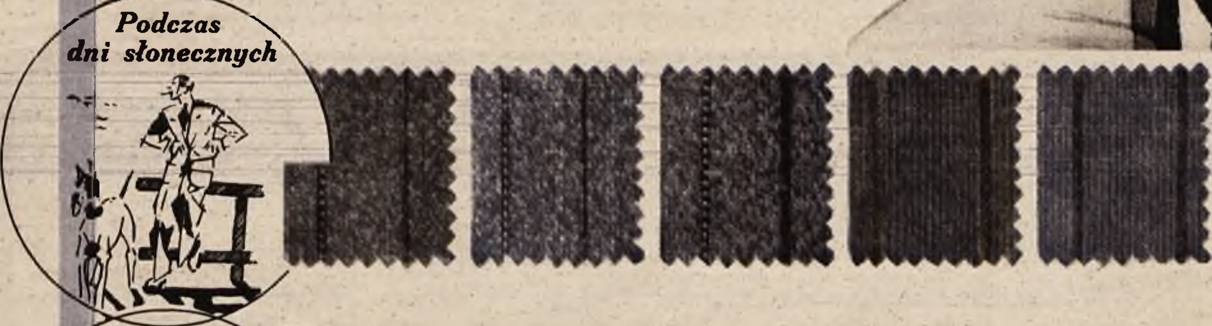


Niewielu jest takich mężczyzn, którzy ściśle przestrzegają doboru odpowiednich ubrań do różnych okoliczności życia codziennego. Zwykle tak się dzieje, iż bez względu na to, jaki program wypełnia dzień gentlemana, ogranicza się on do jednego zwykle garnituru, który służy zarówno jako dress quasi sportowy, jak i ubiór do biura, kawiarni lub wkońcu na wycieczkę za miasto, a często nawet... wieczór do teatru.

Tymczasem tego rodzaju „polityka oszczędnościowa" dowodzi wielkiej krótkowzroczności i opłaca się na bardzo krótką metę. Nie ulega bowiem najmniejszej kwestji, że nie istnieje materjał, któryby „wytrzymał" tak forsowne zużycie i któryby po paru zaledwie dniach nie wyglądał „jak psu z gardła wyciągnięty" (porównanie dziwne, niemniej jednak prawdziwe). Prócz tego gentleman wybierający się do teatru w sportowej marynarce (homes-spun, szewiot), albo ten, który ryzykuje udział w wycieczce za miasto w ubraniu wizytowem (kamgarn, fresko) — przypomina mimowoli człowieka, który dysponując windą, woli piąć się na szóste piętro po schodach. O takim każdy pomyśli: warjat! Dla tamtych tylko nieliczni znajdą określenie: niedbały! I w tem właśnie tkwi owe wielkie nieporozumienie, jeśli o męską modę chodzi. Stanowczo za mało zwraca się na nią uwagi, wychodząc z błędnego założenia, że tylko kobieta powinna się „dobrze ubierać".

Jak prostem jest to dobre ubieranie się u mężczyzn. Trzeba tylko umieć sobie powiedzieć, że nie wszystko do wszystkiego się nadaje; bodaj najdrobniejsze rozróżnienie pewnych okoliczności życiowych, które wymagają dostosowania do nich odpowiedniego stroju i co za tem idzie materjału, stwarza już obraz „dobrze ubranego" mężczyzny i umożliwia mu ekonomiczne urządzenie i utrzymanie nawet skromnej liczebnie garderoby. Pamiętajmy o tem, że w lakierkach nie idzie się na Zawrat i że juchtowe nawet półbuciki są „przeżytkiem" na dancingu lub w teatrze — a już znajdziemy się na właściwej drodze, która prowadzi do królestwa dobrze pojętej mody męskiej.

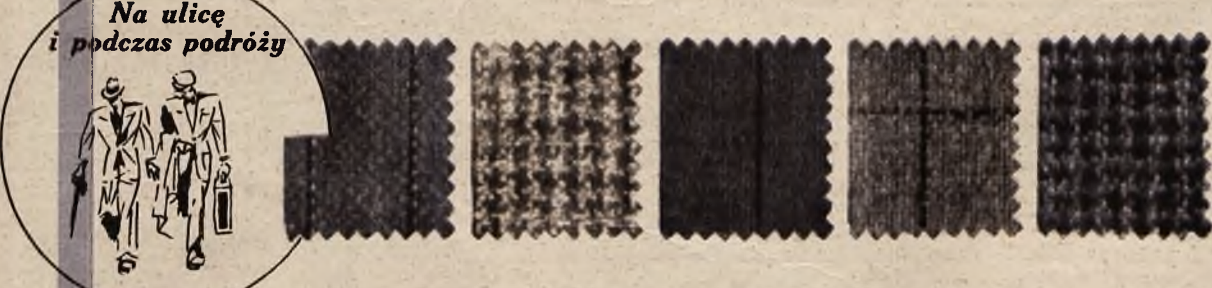
Brummell.



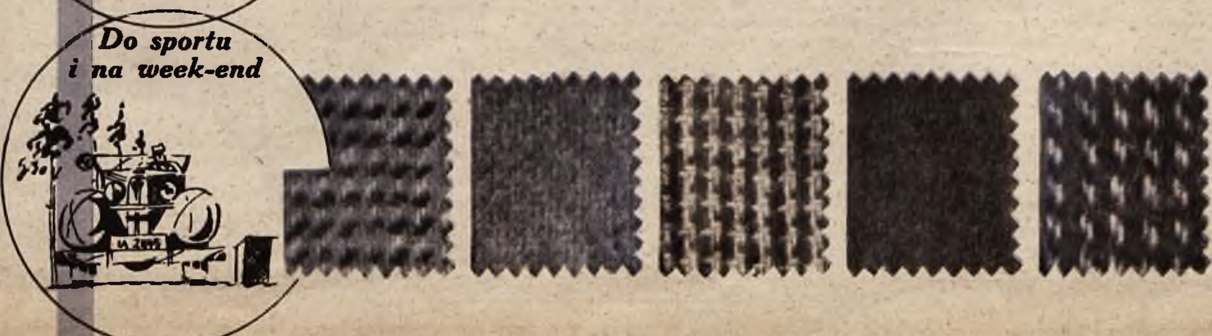
Podczas dni słonecznych



W biurze



Na ulicę i podczas podróży



Do sportu i na week-end

W letnich kombinowanych ubraniach sportowych, coraz częściej pojawia się duża pepita jako wzór materjału na marynarki...



Poniżej: Flanelowe spodnie i sweter, albo shorty kombinowane z bluzą sportową — to strój nietylko używany do tenisu, ale i podczas wycieczek nad morzem...

PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.



Przechylając się wtył w tej pozycji, ćwiczymy muskulaturę brzucha i klatki piersiowej (pozycja pierwsza).

Ćwiczenie X.

Chodzenie po schodach może zastąpić gimnastykę. mającą na celu uelastycznienie mięśni nóg i chodu, jako takiego. Podajemy kilka wskazówek, jak postępować,. aby ruch ten odbywał się prawidłowo:

1) Głęboki wdech przy wstępowaniu na jeden schód, wydech przy wstępowaniu na drugi. Takie ćwiczenie z początku nuży, lecz później ułatwia chodzenie po schodach i szkoli racjonalny oddech.

2) Wychodzenie po schodach na czubkach palców.

3) Wychodzenie przy zupełnie sztywnem prostowaniu nóg.

4) Przy każdym kroku elastyczne uginanie nogi w kolanie i następnie wyprężenie.

5) Wchodzenie po schodach na jednej nodze.

Ćwiczenia te, to na oko dziecinne igraszki, jednak o głębszym sensie gimnastycznym. Skrupulatne ich wykonywanie sprawia, że schody, zwłaszcza wyścielane dywanem, w dobrze wietrzonej klatce schodowej, mogą nam zastąpić salę gimnastyczną.

Zasadniczo polega racjonalne chodzenie po schodach na tem, że jedną nogą stajemy na czubkach palców, zginamy w kolanie, wznosząc przytem w górę korpus, opuszczamy stopę zwolna na piętę, równocześnie wyprężając drugą nogę. Prawidłowe wyprężenie nogi odgrywa przytem ważną rolę. Nie należy nigdy wyciągać nogi w górę, lecz wyprężać ją silnie, podczas gdy korpus oparty jest na drugiej nodze.



Zaraz potem staramy się przez przegięcie wprzód i opuszczenie ramion o odprężenie znużonych ćwiczeniem mięśni (pozycja druga).

Piękność od wieków w jednakowej jest cenie...



Na szczytach ideałów, ku którym dąży ludzkość nieustannym pochodem w ciągu wieków, stoi, niby posąg — wspaniała, coraz innemi kryterjami określana, a zawsze pociągająca i pożądana... piękność kobieca.

Idąc śladami postępu cywilizacji, znajdziemy zawsze w każdem państwie, wysoko wzniesiony kult pięknej kobiety i żywy skutkiem tego ruch w poszukiwaniach za wysubtelnionemi środkami konserwowania tego piękna na najdłuższe lata. Hołduje im i współczesna, wysportowana kobieta, szczęśliwsza od swych poprzedniczek doskonałością środków, jakie jej w pielęgnacji urody stawia do dyspozycji nauka... i sztuka. To już nie szukanie po omacku w ciemnościach, ani tem mniej szarlatańskie zabiegi, mogące wywołać uśmiech na usta cywilizowanej kobiety, przed którą wiedza otwarła naoścież swe podwoje... To świadome stosowanie środków kosmetycznych, wynalezionych podczas długich poszukiwań laboratoryjnych, którym stoi do dyspozycji cała nowoczesna wiedza.

Uchylamy nieco zasłony, dzielącej nas od poprzednich wieków. Każdy z nich stawiał kobiecie do dyspozycji swe środki, uważane za zbawienne w pielęgnacji urody. Zamiłowana w pięknie ciała ludzkiego i jego harmonijnych proporcjach, Grecja oddaje kobiecie w hołdzie nietylko swój kult, ale i mnogość środków upiększających. Mnoży się ich tyle, że prawo Solona zakazuje wreszcie nadużywania perfum i barwików. Zaprzestano wtedy wyrobu specjalnej oliwy piękności i masek do odświeżania cery. A przecież piękna Aspazja posiadała słynne przepisy upiększające, specjalnie zestawiane dla każdej części ciała. Środków ku temu było wiele: olejki palmowe, wyciągi z bluszczu, mięty, winnej latorośli, pigwy, jak zresztą i znanego w kosmetyce do dziś dnia rumianku.

Jak w Grecji posągowym kształtom, tak w Rzymie najwięcej uwagi poświęcano największej ozdobie głowy — włosom. Kobiety zmieniały swe krucze loki na świetlistoblond, a później na odcienie złota. Wprowadzono sposób na zakręcanie loków, tam gdzie natura poskąpiła tego daru. Nawijano mianowicie na rozgrzane żelazo, które stało się prototypem późniejszych „rurek“.....

Ogólna pielęgnacja ciała była już obowiązkiem, ułatwianym zresztą przez istnienie łaźni i wodociągów. Owidjusz przekazał nam receptę na wybielanie skóry: czegóż tam niema? mąka jęczmienna i mąka z soczewicy, jaja, tarty róg jeleni, cebula i narcyze, guma i miód...

Piękne Rzymianki znały też tajemnice masek piękności. Miksturą, podobną do tynku okładano twarz nazywając tę maskę — „twarzą dla męża“; wszelkie ślady maski upiększającej skwapliwię się usuwało, mężowi tylko pokazując technikę zabiegu bez żadnych skrupułów. Messalina miała w gotowalni sto puzderek z upiększającemi środkami...

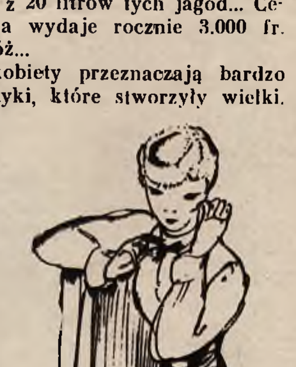
Kultura chrześcijańska odwróciła uwagę od przemijających wartości urody kobiecej, ale przecież nie zdołała całkowicie przeobrazić kokieterji, wrodzonej płci słabej. W XV w. prym wśród mistrzyń kosmetyków wiodą piękne mieszkanki Florencji. Mnożą się recepty na zachowanie piękności. Przeciwko zmarszczkom naliczono wówczas ni mniej ni więcej, tylko 300 przepisów kosmetycznych!

Do Francji przeniknęły te wszystkie mądrości kosmetyczne za Franciszka I. i Katarzyny Medycejskiej. Jaśnieje i od nich wspaniały dwór Króla — Słońce. Nadchodzi okres panowania „Markizy, strojnej w róż, muszki i wstążki“...

A więc są i muszki ważnem akcesorjum piękności. Czarny punkcik na buzi jak krew z mlekiem, akcentował jej różane kolory. Ale i przeciwko muszkom z czasem podniosły się protesty. Słynny był okrzyk Bourdaloue do kobiet: „N'irez-vous pas jusqu'à en disposer sur votre gorge“?... Kobiety przyjęły wyzwanie i muszka pojawia się na wszystkich pięknych dekoltażach.

Czyż iść śladami wszystkich środków i półśrodków konserwowania piękności, jakie nam pozostawiły dzieje następnych wieków po dziś dzień? Może narazie dość. Poprzestańmy na wyliczeniu jeszcze paru przykładów. Oto wiek XIX: pani Tallien kąpie się w poziomkach i malinach, każąc do wanny wyciskać sok z 20 litrów tych jagód... Cesarzowa Józefina wydaje rocznie 3.000 fr. na sam tylko róż...

I dzisiejsze kobiety przeznaczają bardzo dużo na kosmetyki, które stworzyły wielki. odrębny przemysł, świetnie prosperujący na Zachodzie i w Ameryce, u nas stawiający pierwsze kroki.



Piękność zobowiązuje, ale zobowiązują też i braki w jej domenie, które w dużej mierze dziś usuwać można przy pomocy kosmetyki, wspartej o prawdziwą wiedzę.

J. H.

ŻYCIE
towarzyskie i artystyczne

ZIEMIAŃSKI ŚLUB W WIELKOPOLSCE

W kościele parafjalnym w Ludzisku (Wielkopolska), pobłogosławiony został dnia 29 czerwca br. związek małżeński między Wandą hr. Skórzewską i p. Wiktorem Chrząstowskim. Panna młoda, która jest córką hr. Pawła Skórzewskiego z Rossozycy i Zofji z hr. Czarneckich, jak również pan młody, należą do znanych ziemiańskich rodzin Wielkopolski. Przyjęcie po ślubie odbyło się w gościnnym domu ciotki panny młodej, Anieli z hr. Czarneckich hr. Dąmbskiej w Ludzisku.





ŚLUB FRANKLINA D. ROOSEVELTA JUN.

Miłość syna prezydenta Roosevelta do uroczej Ethel Du Pont stanowiła oddawna emocjonujący temat dla Amerykanów, nietylko ze względu na stanowisko młodego człowieka, ale też z tego powodu, że rodziny Rooseveltów i Du Pontów żyły oddawna w antagonizmie. — Rodzina panny młodej jest pochodzenia francuskiego i należy do najbardziej znanych w U. S. A. Wkońcu Franklin D. Roosevelt jun. otrzymał od ojca zezwolenie na ślub, który odbył się 30 czerwca w kościele Chrystusa w rodzinnem mieście panny młodej, Delaware

Keystone — Berlin

STOIŃSKI LAUREATEM KATOWIC

Dnia 6 bm. magistrat m. Katowic przyznał nagrodę muzyczną dyr. Instytutu Muzycznego i utalentowanemu kompozytorowi, p. Stefanowi Marjanowi Stoińskiemu, w uznaniu zasług, położonych około kultury muzycznej na Śląsku. Laureat, urodzony w r. 1891 w Szamotułach Wlkp., został po studjach zagranicznych powołany na stanowisko kierownika pierwszej opery w Katowicach. W r. 1925 założył Instytut Muzyczny, a poza tem bierze żywy udział w artystycznem i społecznem życiu Śląska.



ARTYSTYCZNE MAŁŻEŃSTWO



W kaplicy klasztoru SS. Niepokalanek w Szymanowie pod Warszawą odbył się w dniu 30 czerwca ślub znakomitego artysty dyr. Juljusza Osterwy z zdolną dziennikarką, współpracowniczką „I. K. C.", ks. Matyldą Sapieżanką, córką ks. Pawła i Marji z ks. Windischgraetzów. Państwo młodzi zamierzają wyjechać w podróż poślubną na jesień, gdyż obecnie dyr. Osterwa kreuje główną rolę w sztuce „Powrót Przełęckiego" w Teatrze Narodowym.

KONSERWATORJUM W STANISŁAWOWIE

Utalentowany kompozytor i dyrygent p. Wiktor Hausman został ostatnio powołany przez Konserwatorjum Muzyczne im. Moniuszki w Stanisławowie na stanowisko dyrektora działu koncertowo-operowego. P. Wiktor Hausman, pochodzący ze Lwowa, znany jest ze swych kompozycyj muzycznych, jak też z pracy pedagogicznej. Zdobycie tak wybitnej też siły pozwala spodziewać się najlepszych rezultatów pracy stanisławowskiego konserwatorjum.



SUKCESY UTALENTOWANEJ ARTYSTKI.



P. Stanisława Zbyszewska zyskała sobie jako reżyserka i aktorka teatru katowickiego im. St. Wyspiańskiego uznanie krytyki i publiczności. Dużym sukcesem reżyserskim p. Zbyszewskiej była oryginalna inscenizacja „Niespodzianki" K. H. Rostworowskiego, a jako artystka okazała duże zdolności sceniczne w rolach Jenny w „Szesnastolatce" i Wróżki w „Wyzwoleniu".

Foto „Star" — Katowice.



Ćwiczenia gimnastyczne na trampolinie przyczyniają się do zachowania smukłej linji, o którą Dorothea Kent, urocza gwiazda filmowa, zdaje się bardzo dbać.

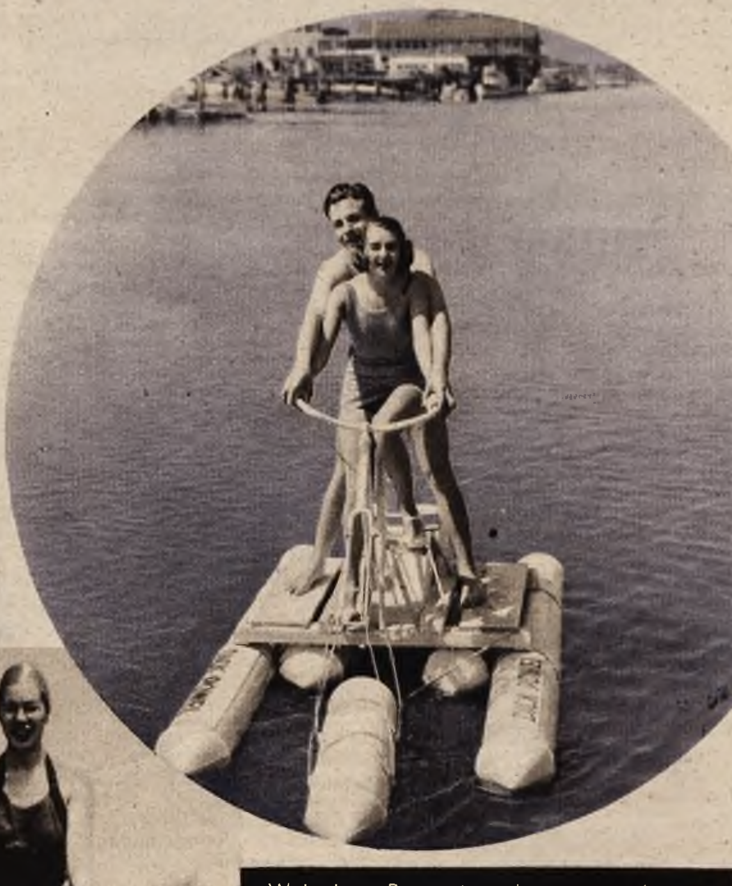
ZABAWY NA PLAŻY

Wyjątkowo upalne lato tegoroczne zamieniło miasta niemal w pustynie. Kto tylko mógł wyrwać się z rozgrzanych murów i słońcem prażonych bruków miejskich na świeże powietrze, skorzystał z tego skwapliwie. Miasta opustoszały. Na ulicach snują się sennie nieliczni przechodnie — na zakurzonych skwerach o przygasłej, słońcem wypalonej zieleni szukają ochłody i cienia ci pokrzywdzeni przez los, którym nie dane było wyjechać. W opustoszałych kawiarniach nieliczni „sztamgaści" cedzą przez słomkę lemonjadę i pochłaniają niezliczone porcje lodów. W teatrach i kinach pustki — sezon ogórkowy w pełni!

Zato plaże całego świata zaroiły się gwarną publicznością. Z przepełnionych hoteli, pensjonatów i skromnych domków rybackich co rano wysypują się rzesze spragnionych morza, powietrza i słońca. Upał tu nie dokucza. Choć słońce praży od rana do wieczora, morze dobywa ze swych przepastnych głębin niewyczerpane zasoby świeżości i chłodu, wysyłając ku brzegom spienione fale, niosące na swych białych grzywach cudowny, chłodzący powiew. Noce pachną słoną wilgocią morza, które — niczem olbrzymi wachlarz — chłodzi rozpalone piaski wybrzeży.

Życie na plaży ma wszędzie to samo oblicze, czyto w wytwornych kąpieliskach Riwiery, czy na luksusowych plażach Kalifornji, czy też na naszem bałtyckiem wybrzeżu. Wszędzie jest gwarno, wesoło i barwnie — niekrępowana swoboda pozwala na prawdziwy wypoczynek. Stroje zredukowane do minimum nie krępują ruchów, życie towarzyskie obywa się bez sztywnych przepisów i niewzruszalnych kanonów konwenansu. Czas upływa szybko, podzielony między kąpiele słoneczne i morskie — sporty i gry plażowe, wycieczki motorówkami, żaglówkami lub zwykłemi rybackiemi łódkami, no i to cudowne „dolce far niente", do którego plaża nadaje się tak wspaniale. Leżąc pod olbrzymią błękitną kopułą nieba na miękkim piasku plaży, patrząc z pod przymkniętych powiek na falujące, słońcem rozedrgane morze, słuchając poszumu fal rozpryskujących się z cichym szelestem na brzegu, zapomnieć można o wszystkich troskach i niepokojach codziennego życia. — Wszystko wydaje się nam wtedy proste i łatwe, a spokój i obojętność otaczającej nas przyrody działają na nerwy łagodząco, jak balsam.

Ale życie na plaży, to nietylko leniwy spoczynek. Po odświeżającej kąpieli ciało



W kole: „Rower" wodny ma swoich licznych wyznawców. Oto para artystów filmowych Ruby Keeler i Dick Powell na porannej wycieczce.



Jazda na desce za motorówką dostarcza prawdziwych sportowych emocyj.

nasze domaga się ruchu i wyładowania nagromadzonej w czasie spoczynku energji. Niezliczone gry sportowe pozwalają nam ćwiczyć nasze mięśnie wszechstronnie i urozmaicić program dnia. Pomysłowość ludzka okazała się w tym kierunku niewyczerpana, i każdy rok przynosi nowe wynalazki sportowe, dokonywane przeważnie w „kraju wszelkich możliwości“ i nawiasem mówiąc, wszelkich ekscentryczności — Ameryce.

Najwięcej nowości pojawia się corocznie w dziedzinie sportów wodnych. Wycieczki żaglowe czy motorowe nie wystarczają już wybrednym sportowcom. Dla tych stworzono „rowery“ wodne niezliczonych typów i odmian. Niektóre z nich poruszają się na zasadzie śruby, inne posuwają się z wiatrem dzięki umieszczonym po obu bokach skrzydłom, obracanym przy pomocy rowerowych pedałów. Prawdziwej sportowej emocji dostarcza też jazda na desce, ciągnionej przez motorówkę — sport wymagający zręczności i poczucia równowagi, niezbyt łatwej do utrzymania przy szybkiem tempie





Do jachtingu trzeba umieć się ubrać, a wymarzonym strojem w tym wypadku jest zmodernizowany kostjum marynarski, składający się z granatowych szerokich spodni i staniczka trykotowego w biało-niebieskie pasy.

jazdy. Oryginalnym pomysłem są też t. zw. narty wodne, które pozwalają dosłownie chodzić po morzu, dzięki lekkim „butomłódeczkom“, przymocowanym oddzielnie do obu nóg. Przemiłą jest również jazda maleńkiemi morskiemi kajakami z żaglem, którego duża powierzchnia w stosunku do mikroskopijnych rozmiarów samej łódki, pozwala przy pomyślnym wietrze na rozwinięcie iście zawrotnej szybkości.

Dla tych nielicznych upośledzonych, którzy nie umieją pływać (czyż są jeszcze wogóle tacy?!) i dla których te wszystkie sporty stanowiłyby wskutek tego zbyt wielkie ryzyko, pozostają jeszcze liczne gry sportowe, uprawiane „na sucho“ na samej plaży. Do tych należy przedewszystkiem siatkówka, znajdująca coraz więcej zwolenników i łącząca sport z zabawą towarzyską.

Piłką bawią się nietylko dzieci, ale i dorośli na plaży.

Ogromne lekkie piłki gumowe stanowią też doskonałą zabawę nietylko dla dzieci, lecz i dla dorosłych, którym dają obszerne pole do popisów zręczności i estetyki ruchów. Dzięki temu są ulubioną grą pięknych pań, które doskonale wiedzą jak młodo i zgrabnie wyglądają, goniąc za kolorową piłką. Jest to przytem gra o starych klasycznych tradycjach, sięgających czasów starożytnej Hellady i Rzymu: wiemy wszak — dzięki Sienkiewiczowi i jego ilustratorom — że uprawiała tę grę Ligja z małym Aulusem.

Plaża stanowi doskonały teren do gimnastyki kosmetycznej, do której piękne panie przywiązują dziś tak ogromną wagę. I słusznie: jakież kremy lotiony czy masaże potrafią tak dodatnio wpłynąć na piękno kształtów, zwinność ruchów i urodę kobiecej karnacji, jak celowo obmyślone i zestawione ćwiczenia ruchowe na plaży, gdy zdwojona aktywność naszych płuc pozwala wchłonąć zapasy tlenu i ozonu zawartego w morskiem powietrzu, a dzięki niekrępującemu strojowi, słońce i powietrze ma wolny dostęp do naszego ciała, którego skórę odżywia i regeneruje aż do ostatniej komórki. Nowoczesna Wenus wie, że urodę swą zawdzięcza przedewszystkiem słońcu, powietrzu i ruchowi — nie lęka się fizycznego wysiłku, który wzmacnia i uelastycznia jej mięśnie i nie chroni się zbytnio przed słońcem, które — w miarę zastosowane, o czem trzeba pamiętać — nadaje tak piękny koloryt.

Dokończenie na str. 31.

Poniżej: Kto z nas silniejszy? Te dwie wysportowane osóbki napewne odniosą zwycięstwo...



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

GALARETKA Z MALIN I PORZECZEK. Maliny i porzeczki w równych ilościach. Maliny przebrać, porzeczki opłukać i widelcem zebrać z szypułek- wprost do kamiennego garnka, dodać maliny i nie dolewając wody lub dać jej tylko parę łyżek postawić na brzegu blachy albo do niezbyt gorącego piecyka, aby rozmiękły. Następnie wyciska się sok przez gruby woreczek. Na litr soku bierze się 80 dkg cukru w kawałkach (z główki). Cukier musi się w soku rozpuścić, potem gotuje się, licząc od chwili zagotowania przez 20 minut, robi próbę, czy galaretka ścina się po ostudzeniu. Po dodatnim wyniku próby, zlewa się gorącą konserwę do słoja i zawiązuje po zupełnem ostudzeniu. Resztę owocu pozostałą w woreczku, można przetrzeć przez sito i usmażyć z równą ilością cukru na powidełka.

BUDYŃ Z GRZYBKÓW. 4 dkg masła i 6 dkg mąki zagotuje się w rondelku, zalewa 1/4 litra mleka, rozprowadza na ogniu i wystudza. Do beszamelu tego dodaje się 3 żółtka, 25 dkg w maśle uduszonych, drobno pokrajanych grzybków, szczyptę soli i pieprzu, 4 łyżki śmietany, pianę z pozostałych 3 białek i dwie łyżki tartej bułki. Masę tę nakłada się do formy budyniowej i gotuje na parze przez trzy kwadranse. Budyń podaje się oblany rumianem masłem lub sosem śmietanowym z młodemi ziemniaczkami.

CZARNA RZODKIEW JAKO PRZYSTAWKA LUB W MIEJSCE ZUPY (z kuchni dietetycznej). Dokładnie ołupaną czarną rzodkiew, trze się na tarle, miesza z troszką tartej cebulki lub szczypiórku, odrobiną soli i łyżką oliwy. Mieszankę nakłada się na cienkie krajanki czarnego chleba i podaje przed obiadem lub w miejsce zupy.

PASTICCIO (z przepisów prędkiej kuchni). Małą, startą na tarle cebulę, oraz łyżkę siekanej, zielonej pietruszki, smaży się na łyżce masła przez chwilę, potem dodaje się łyżeczkę słodkiej papryki i 20 dkg mielonego mięsa wołowego pól na pół z wieprzowem (mogą być resztki pieczeni). Po 10 minutach dodaje się 2—3 połamanych pomidorów, troszkę soli i parę łyżek rosołu i dusi jeszcze przez 10 minut, dolewając w miarę potrzeby rosołu. Osobno gotuje się w słonej wodzie 20 dkg spaghetti (makaron włoski), odcedza z wody i podaje zmieszane z poprzednio przygotowanem hachée z mięsa.

SAŁATKI NAKŁADANE NA TARTYNKI (kanapki).

1) Uciera się masło na pianę, dodaje po łyżeczce siekanej pietruszki, szczawiu, szczypiórku, estragonu, kopru, audywji itp. miesza z proszkiem pieczarkowym i solą.

2. Utarte na pianę, jak wyżej, masło, miesza się z dużą łyżką tartej cienko rzodkwi, łyżeczką soku cytrynowego, soli i pół utartego ząbka czosnku.

3. 12-ście dkg dobrego, przetartego sera (twarożku) uciera się z dwoma łyżkami gęstej kwaśnej śmietany, łyżką kremskiej musztardy, łyżeczką tartej białej rzodkiewki, szczypiórku i soli.

4. Na posmarowane grubo masłem krajanki ciemnego chleba układa się paskami: zamarynowane poprzednio w occie plasterki buraczków, paski ogórków i równorzędnie sypie się siekany szczypiorek.

5. Dwie łyżki chrzanu, 2 łyżki bitej śmietany, 2 łyżki siekanych gotowanych buraczków, łyżeczkę soku cytrynowego, troszkę soli, wszystko doskonale utarte.

SAŁATKI, których przepisy poniżej podaję, spotyka się zagranicą na każdym prawie zimnym bufecie. Możemy je z korzyścią przejąć do naszych jadłospisów.

1. Ugotowane w rosole dwie główki selera i kilka marchewek karotek kraje się w plastry, 1 jabłko w drobną kostkę skrajane, wszystko zaprawia się łyżką oliwy i soku cytrynowego oraz troszką soli. (W miejsce oliwy można użyć śmietany).

2. Cztery podłużne ziemniaki, główka selera, 2 buraczki, wszystko ugotowane i pokrajane miesza się z trzema roztartemi sardelkami, 5 dkg tłuszczu od szynki lub młodej wędzonki pokrajać drobno, wysmażyć, zalać łyżką winnego octu i polać gorącem sałatkę.

3. Duży kwaśny ogórek, duże jabłko pokrajać w kostkę, białko z dwóch twardych jaj zesiekać. Żółtka uciera się z łyżą musztardy i szklanką bitej śmietany, dodaje soli oraz soku cytrynowego. Wszystko razem wymieszać. W innej odmianie daje się w miejsce śmietany, oliwę.

PIECZEŃ CIELĘCA Z KIEŁBASĄ. Z 1—1½ kilogramowej łopatki cielęcej wyjmuje się ostrożnie kość, uważając, aby mięsa nie przeciąć. W miejsce kości wkłada się obciągniętą ze skórki biełbasę tzw. sardelową, zaszywa lub spina spinaczem, tworząc podłużną ruladę. Mięso parzy się naprzód wrzącą wodą, obsusza, osmaża na ostrym ogniu, następnie piecze przy częstem polewaniu w piecyku. Przestudzoną pieczeń kraje się w plastry i podaje z duszoną kapustą na gorąco lub na zimno z sałatką.

Sc. Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Praktyczną nowością w umeblowaniu kuchennem jest ruchoma przystawka, którą można użyć podczas zmywania naczyń, przysuwając ją do stolika. Na niej to ustawia się obmyte naczynia, a ścierki zawieszone na jej ramieniu obsychają prędko. Dobrą stroną tego urządzenia jest też to, że można ją dostosowywać do różnej wysokości, a po użyciu płasko złożyć.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 30 — **Lipiec** — 31 dni

NIEDZIELA **18** Szymona z Lip.	Budyń z grzybków w miejsce zupy. Omlety z szynką. Kurczęta w śmietanie z makaronem. Bomba z melona. Kolacja: Sałatka na chlebie, wędlina.
PONIEDZ. **19** Wincentego a P.	Zupa z drobiu na perłówce. Smażone nóżki cielęce z ogórkiem. Kura z rosołu z sosem chrzanowym lub agrestowym. Poziomki z śmietaną. Kolacja: Kalafior i fasolka szparagowa.
WTOREK **20** Czesława, Elj.	Czarna rzodkiew na chlebie zamiast zupy. Pasticcio. Pieczeń cielęca z kiełbasą i duszona kapusta. Kompot mieszany. Kolacja: Ziemniaczki z domowym kefirem, młody bób.
ŚRODA **21** Praksedy, Dan.	Rosół z jarzynkami i tartem ciastem. Sztuka mięsa z sosem jajecznym. Kotlety wieprzowe z kapustą parzonką. Sałata z surowych owoców. Kolacja: Grzybki duszone, chleb, masło.
CZWARTEK **22** Marji Magdal.	Zupa z fasolki szparagówki. Bukiet jarzynowy. Baranina z włoską kapustą. Knedelki z parzonego ciasta z morelami. Kolacja: Kaszka krakowska z twardem jajem.
PIĄTEK **23** Apolinarego b.	Chłodnik owocowy z grzaneczkami. Raki w śmietanie. Karp w galarecie. Strudel z borówkami. Kolacja: Pomidory faszerowane ryżem.
SOBOTA **24** Krystyny, Włod.	Zupa z makaronu na śmietanie. Kalarepka faszerowana mięsem. Filety sarnie z sosem borówczanym. Ciastka francuskie z pianką malinową. Kolacja: Jaja w szklance, rzodkiew ser.

HOCKI-KLOCKI

KORONACJA KRÓLA CYGANÓW.



Nasz projekt stroju koronacyjnego dla króla cyganów... — *Rys. Charlie*

Dokończenie ze str. 5-ej.

Jeśli chodzi o rezydencję to najpiękniejszą był pałac w Mereczowszczyźnie, znajdującej się o 2 km od Kossowa poleskiego. Posiada on styl pseudo klasyczny, a wybudowali go dawni właściciele Kossowa i Mereczowszczyzny hr. Pusłowscy. Obecnie mieszczą się w nim biura Starostwa i Wydziału Sejmikowego.

W tej miejcowości 12 lutego 1747 ujrzał światło dzienne Tadeusz Kościuszko. Dom, w którym się urodził, znany dobrze z licznych ilustracyj istnieje dotychczas, będąc w zupełnie dobrym stanie. W księgach parafjalnych przechowuje się metryka chrztu Naczelnika, a ceremonji tej dokonał O. Rajmund Korsak, przeor Dominikanów z Hoszczewa. Domek zawiera 4 pokoje. W jednym z nich mieści się tablica z odpowiednim napisem. W przyszłości w dworku ma być urządzone muzeum kościuszkowskie.

Niedaleko od Iwacewicz, wśród grupy najpiękniejszych jezior poleskich, jak Czarne, Białe, Sporowskie, leżą Pieski. Stare. Na uwagę zasługuje w Pieskach pałac hr. Pusłowskich, obecnie z powodu spustoszeń wojennych niezamieszkały. Specjalnie zaś ciekawą jest wjazdowa brama, odnowiona właśnie.

Opodal dworu wznosi się magazyn gorzelni w formie baszty, w której dzielnie bronili się w 63 roku powstańcy.

W Piekarach pochowany jest Franciszek Xawery Xiążę Drucki-Lubecki, minister i znakomity ekonomista z czasów królestwa.

Tyle wspomnień i obserwacyj z szarej i smutnej ziemi — pełnej zadumy nad inną przeszłością.

Nowoszyce, w lipcu 1937.

Dokończenie ze str. 29.

Piękne kobiety są ozdobą każdej plaży, a smukłe ich sylwetki w obcisłych barwnych kostjumach kąpielowych dodają jej estetycznego uroku. Nic też dziwnego, że w ostatnich latach każde kąpielisko nadmorskie organizuje tak popularne dziś konkursy piękności, wybierając najpiękniejszą z pośród pięknych i obwołując ją królową sezonu. Konkursy te nie wymagają tak skrupulatnych pomiarów i obliczeń matematycznych, jak osławione konkursy amerykańskie, gdzie nieszczęśliwe kandydatki ważone są, mierzone i oglądane, jak przeznaczone na sprzedaż niewolnice w starożytności: głosuje poprostu płeć brzydka na liberalnej zasadzie „nie to piękne co piękne, lecz co się komu podoba", lekceważąc jakieś ustalone kanony i prawidła piękności kobiecej.

Europejskie kobiety nie lubią poddawać się jakiejkolwiek tyranji i wiedzą, że na to, aby być piękną, nie musi się ważyć najwyżej 50 kg i mieć koniecznie o 5 cm mniej w pasie od Wenus Milońskiej, którą zdyskredytowały bez ceremonji amerykańskie piękności, twierdząc, że jest za obfita w kształtach!

Jeśli prawdą jest, że istnieje gdzieś raj na tej ziemi, to szukaćby go trzeba chyba na plaży, nietylko z racji „rajskich" strojów, które znalazły tam prawo obywatelstwa, lecz przedewszystkiem dlatego że słońce, morze i piasek, ruch na świeżem powietrzu i niczem nie skrępowana swoboda — to najlepsi sprzymierzeńcy młodości, zdrowia i radości życia. **Lady Like.**

ROZRYWKI UMYSŁOWE

RYBY.

Panowie Wróbel, Kanarek i Skowronek są wielkimi amatorami rybołóstwa. Pewnego dnia po spędzeniu całej niedziel nad rzeką opowiadali o swych sukcesach rybackich. Każdy złapał inną ilość ryb, a wszyscy oczywście podali przesadzoną liczbę, przyczem dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy przesadzili jednakowo. Wróbel powiedział, że złowił dwa razy więcej niż suma tego, co złowił Skowronek i tego co powiedzał Kanarek, że złowił. Kanarek złapał o 6 mniej niż połwao tego co rzekomo w sumie złowili Wróbl i Skowronek. Natomiast Skowronek powiedzaił, że złowł dwa razy więcej ryb niż różnica między ilością złapaną przez Wróbla a dwukrotnością liczby wymienionej przez Kanarka.

Proponujemy czytelnikom zgadnąć, ile ryb złowił naprawdę Skowronek i jaką cyfrę podał jako wynik swej całodniowej pracy.

LICZBY KWADRATOWE.

Jaka to liczba, którą mona dodać oddzielnie do 100 lub 164, otrzymując za każdym razem wwyniku liczbę kwadratową?

To warto poznać..

NA SCENIE.

Jak przewidywaliśmy w poprzednim numerze „Asa" — przeróbka sceniczna **„Zazdrości i medycyny"** Choromańskiego, dokonana przez nieznanego dotąd na polu literackiem p. Szackiego, nie udała się! Wprawdzie „przerabiacz" zachował wiernie szkielet akcji i przeniósł pieczołowicie postacie powieściowe na scenę, ale zabrakło rzeczy najważniejszej: atmosfery, nastroju, klimatu, artyzmu powieściopisarza.

Pozostała prostoduszna fabuła, ot, taka sobie historja o miłostce doktora Tamtena i Rebeki. Jak zaznaczyliśmy, postacie utworu Choromańskiego wymagają szczególnie troskliwej i zręcznej oprawy scenicznej. Ich charaktery mają profil zamazany; to nie są ludzie z krwi i kości, tylko widma, symbole, zresztą bardzo interesujące w powieści. Scena operacji, będąca majstersztykiem pisarskim autora — na scenie wypadła, jak... wiele innych podobnych epizodów, oglądanych ostatnio w teatrze. Raz jeszcze okazuje się, że o wartości dzieła nie decyduje wątek fabuły, lecz jego ujęcie artystyczne.

Ażeby dać teatralny równoważnik „Zazdrości i medycyny" trzeba było pióra w guście Rossi di San Secondo („Tyle namiętności w marionetkach"), lub innego specjalisty od niezwykłych nastrojów na scenie.

Krytyka wyjątkowo zgodnie oceniła przeróbkę utworu Choromańskiego. Jeśli idzie o wykonanie aktorskie, wyróżnił się w roli Widmara p. Samborski; małomówną Rebeką była p. Dziewońska. — Jak donosiliśmy, Jaracz ustąpił pola w Ateneum Schillerowi, który niezbyt trafnie wyreżyserował „Zazdrość i medycynę", poprzestając na czysto realistycznem ujęciu.

• •

Teatr Polski sięgnął do słynnej jeszcze przed wojną pary francuskich rzemieślników teatralnych: Flersa i Caillaveta, wystawiając ich komedję p. t. **„Papa"**. Truizmem byłoby chwalić „robotę" sceniczną tych świetnych praktyków sceny. Boy-Żeleński pisząc o premjerze Teatru Polskiego, zastanawia się nad „Papą", jako zwierciadłem przemian obyczajowych i społecznych na przestrzeni ćwierćwiecza.

Najmocniejszą pozycją „Papy" jest dowcip, który „trzyma się doskonale". Natomiast niektóre sytuacje stały się nieco mniej przekonywujące. Np. pojęcie „wielkiego świata", do którego wkracza Teresa, stało się mniej określone, niż dawniej i mniej wyłącznym celem marzeń dziewczęcych.

Zawsze żywy wdzięk tej sztuki podniosło wykonanie aktorskie. — Rola tytułowa należy do najmilszych kreacyj Junoszy-Stępowskiego.

Młodsze pokolenie reprezentowały bardzo uzdolnione siły Teatru Polskiego: Zofja Nakoneczna i Jerzy Pichelski. P. Nakoneczna wyposażyła postać Teresy w urodę młodości, a poza tem wybornie przemyślała ewolucję tego dziewczęcia. Pichelski godnie jej sekundował, subtelnie cieniując przemiany wewnętrzne Janka. — Trzeba też wyróżnić pp. Wysocką (Koleta) i Woskowskiego (proboszcz). Zresztą gra całego zespołu stała na wysokim poziomie.

• •

W Krakowie po „Jaskółce z wieży Marjackiej" przyszła **„Temida na prowincji"** mało znanego wiedeńskiego autora Bielena. Szczupłość reputacji w tym wypadku jest zupełnie naturalna i sprawiedliwa. Sztuczka Ottona Bielena ma nietylko koloryt, ale i wartość lokalną. Można sobie niekiedy pozwolić na taką „Temidę" dla przypomnienia, jak to „prowincja" wygląda — gdzieindziej.

Najlepiej udała się autorowi postać woźnego sądowego, Swobody; umieścił ją też na pierwszym planie. Ma on coś z „niepotrzebnego człowieka", potraktowanego na wesoło, bez długich westchnień i łez, z akompanjamentem niefrasobliwych i niewyszukanych konceptów.

W teatrze im. Słowackiego reżyser Biegański nie dowierzał dowcipowi autora i wzmocnił to i ówdzie rysy humorystyczne widowiska.

Największy sukces odniósł p. Kazimierz Szubert jako Swoboda. Szubert rozgrzeszył w naszych oczach — „Temidę", usprawiedliwił jej obecność — na wakacjach w Krakowie...

J. J.

NOWE KSIĄŻKI.

„Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" — taki jest tytuł powieści napisanej przez więźnia na Św. Krzyżu, Sergiusza Piaseckiego. Był on zawodowym przemytnikiem przed kilkunastu laty, dokonał mnóstwa napadów na pograniczu, a w powieści swej opisuje właśnie życie na granicy polsko-sowieckiej, a raczej przygody przemytników, ich wyprawy szmuglerskie z towarem. Zanim został przemytnikiem autor współdziałał z wojskiem polskiem w akcji przeciw-bolszewickiej. Po wojnie oddaje się na usługi naszego wywiadu, poczem przerzuca się na swój „wolny zawód". — Trzeba przyznać, że książka ma charakter egzotyczny: odsłania świat mało znany; żyjący poza społeczeństwem i poza jego prawami. Z „Wielkiej Niedźwiedzicy" wyłania się człowiek pełen jakiejś partyzanckiej fantazji, ma on w sobie coś z dawnych kondotjerów, co za wynagrodzeniem szli walczyć pod czyjeś sztandary. Sztandarem jest tutaj przygoda, ryzyko wyprawy. Przemytnicy muszą ukrywać się i po tej i po tamtej stronie, żyją w strefie „no mans land" czyli ziemi niczyjej.

Adolf Rudnicki, autor dwóch utworów powieściowych „Szczury" „Żołnierze" wystąpił teraz z nową powieścią p. t. **„Niekochana"**. Podczas gdy tamte utwory miały charakter ścisłej, rzeczowej, niejako reporterskiej relacji o wydarzeniach współczesnych — obecnie odsłonił autor świat przeżyć osobistych, romansowych. Rudnicki napisał romans — brzmi to dość nieoczekiwanie; trzeba też dodać, iż jest to studjum psychologiczne miłości, a raczej przeżyć związanych z tem uczuciem. Autor obraca się — w przeciwieństwie do swych dotychczasowych utworów — w świecie wewnętrznym. Nie zajmują go szczegóły życia codziennego. Natomiast stara się odtworzyć procesy duchowe, które doprowadziły do zerwania Kamila z Noemi. Przez cały czas widzimy szamotanie się tych dwojga. Kamil raz po raz znika, opuszcza Noemi, aby potem znowu powrócić. Kamil nie kocha Noemi, a jednak czuje się z nią związany. Noemi widzi rosnący między niemi przedział i pragnie go zapełnić swem uczuciem. Autor śledzi fazy tych przeżyć, doprowadzających ostatecznie do katastrofy (samobójstwa Noemi) i mówi o nich stylem spokojnym, suchym, opanowanym.

„Nie kochać jest ciężarem niemniejszym, niż kochać bez odwzajemnienia" — powiada Rudnicki w zakończeniu. Zdanie to charakteryzuje sytuację Kamila i Noemi.

J. J.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 18 lipca.

9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie.
11.00 Polska Kapela Ludowa pod dyr. Feliksa Dzierżanowskiego.
12.03 Na szerokiej równinie — poranek symfoniczny.
13.10 Koncert rozrywkowy.
16.00 Koncert orkiestry mandolinistów.
16.30 Orkiestra Filharmonji Berlińskiej i soliści.
17.15 „Śniadanie" — skecz.
18.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
20.00 Erica Morini — skrzypce, Włodzimierz Horowitz, fortep.
21.00 „Eliksir miłości", opera, transmisja z Rzymu.

Poniedziałek, 19 lipca

12.25 Chór Eryana śpiewa (płyyt).
12.40 „Od warsztatu do warsztatu": „Piekarze".
16.00 „Antoś chce być technikiem": „Użytki z nieużytków".
16.15 Trio salonowe P. R.
16.45 „Cagliostro" — feljeton.
17.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.
17.50 „Banany" — pogadanka.
18.05 Piosenki (płyty).
19.00 Audycja żołnierska.
19.40 „Główne przeszkody w rozwoju sportu polskiego" — pogad.
20.00 Lekki koncert w wyk. Orkiestry Marynarki Wojen.
21.00 „Cyganie grają" — koncert.
21.45 „W starym domu" — z obrazków krakowskich M. Bałuckiego
22.00 Recital fortepianowy Ryszarda Byka.
22.35 Fragmenty operowe (płyty).

Wtorek, 20 lipca.

12.25 Orkiestra wojskowa pod dyr. A. Gaula.
16.00 Rzeczy ciekawe z pięciu części świata.
16.20 Utwory na dwa fortepiany.
16.45 Wycieczka do Aleksandrowa — feljeton.
17.00 Wielcy kompozytorzy piszą lekką muzykę.
18.15 Koncert rozrywkowy z udziałem Erny Sack (płyty).
19.00 „Pięć minut w niebie" — skecz.
20.00 Koncert rozrywkowy w wyk. orkiestry T. Seredyńskiego.
21.45 „Nie zapomniał do śmierci" — z obrazków krakowskich Michała Bałuckiego.
22.00 Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry Wileńskiej.

Środa, 21 lipca.

12.25 Orkiestra dęta Tramwajów i Autobusów Miejskich.
16.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki.
16.15 Zalotna pieśń na Śląsku — audycja regjonalna.
16.45 Odczyt wojskowy.
17.00 „Co kto lubi" — wiązanka melodyj.
17.50 „Buduję własny dom" — roboty budowlane.
18.15 Georges Boulanger w roli kompozytora i wykonawcy.
19.00 „Słynni dyrygenci" — XIV audycja — ohn Barbirolli.
20.00 Koncert.
21.00 Koncert chopinowski.
21.45 „Pasja do książek" z obrazków krakowskich Bałuckiego.
22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, 22 lipca.

12.25 Łódzka Orkiestra Salonowa pod dyr. T. Rydera.
16.00 „Sznur jarzębin" — opowiadanie dla dzieci.
16.15 Dawno zapomniane melodje — Kwartet Schrammla.
17.00 Koncert solistów.
18.15 Wiązanki (płyty).
19.00 Wznowienie słuchowiska „Stary Subjekt" wg. „Lalki".
20.05 Muzyka lekka i taneczna.
21.45 „Romans wyrobnika" — z obrazków krakowskich Bałuckiego.
22.00 Jan Brahms (płyty).

Piątek, 23 lipca.

12.25 Koncert Małej Orkiestry P. R.
16.15 Recital fortepianowy J. Kaleckiego.
16.45 Z wystawy paryskiej — reportaż
17.00 Koncert Ork. Adama Furmańskiego i Czaplarskiego.
18.05 Pogadanka konkursowa.
18.10 Orkiestra Alberta Sandlera i baryton K. Schmitt-Walter (płyty).
19.00 Symfonja Beethovena — II audycja (płyty).
19.35 Pieśni w wyk. Tadeusza Łuczaja
20.00 Wieczór u Kalmana — koncert.
21.45 Kwadrans poetycki.
22.00 Koncert.

Sobota, 24 lipca.

12.25 Koncert Orkiestry Wileńskiej.
16.00 Słuchowisko dla dzieci „Królewicz i żebrak".
16.30 Polska Kapela Ludowa pod dyr. F. Dzierżanowskiego.
17.30 Audycja konkursowa.
17.50 Tajemnice jezior puszczy rudnickiej — pogadanka.
18.15 Wiązanki operetkowe (płyty).
19.00 „W rytmie raz, dwa trzy" — koncert ork. A. Hermana.
20.00 Audycja dla Polaków za granicą
21.05 Muzyka lekka i taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.